

Jan Parandowski

Dwie Wiosny

ARCYMORZE

W południe wszedłem na pokład „Semiramis”. Ostatni pasażerowie biegli bez tchu, zziębnięci, potykając się o rozstawione paki, kufry i wózki tragarzy. Na szczycie mostku łączącego okręt z portem stał policjant turecki. Przeglądał papiery podróźnych i nie odpowiadał na pytania. Z komina szły kłęby dymu. Parowiec drżał wstrząsany hamowaną pracą maszyny. Na koniec, nasyciwszy się ludźmi i bagażami, schował ramię dźwigaru, wciągnął mostek, szarpnął cumy przytrzymujące go do ziemi -- i ruszył. Wielka biała chmura sunęła przed nim, jakby go odprowadzała na pełne morze.

Wybrzeże Konstantynopola rozwijało się wstęgą, gdzie ścisłym haftem biegły domy, meczety, magazyny. Słoneczna odległość obmyła cały obraz z kurzu i brudu i przesłoniła go melancholią rzeczy, od których się odjeżdża. Płynęliśmy przez Marmara, mając po jednej stronie Azję, po drugiej Europę. Wśród ogrodów jaśniały wille i pałace. Ku błękitnym wodom zbiegały żółte ścieżki. Nadszedł ciepły wieczór, rozłożył cienie na płowych i zielonych płaskościach, a niebo uczyniło się perłowe. W nocy wyroiły się gwiazdy i Wielka Niedźwiedzica zawisła jak metr zwinięty, zbyt wielki do odmierzenia ziemskich przestrzeni. Wśród

fal mieniło się odbicie księżyca splotami bajecznego węża. Woda miała barwę oksydowanego srebra.

Zeszedłem do kabiny, ale nie mogłem zasnąć ze wzruszenia. Żadnej podróży nie zaczynałem w podobnym uniesieniu. Nawet owa pierwsza, jeszcze dziecinna wyprawa na południe, w poszukiwaniu morza, które ciągnęło ku sobie moje robinsonowskie tęsknoty, nawet to pierwsze zalęknione obcowanie z wielką nieznaną przestrzenią, otwierającą się po obu stronach pociągu -- nie przejawiało się takim drżeniem. Spełniało się teraz to, co wydawało się dalekie, planowane ostrożnie w opieszalej beznadziei wykonania. Opadła mnie jakby nostalgia -- nie zwyczajne pragnienie wyjścia z granic swojego kraju i przewietrzenia duszy po cudzych drogach, lecz wprost tęsknota do jakiegoś powrotu, potrzeba witania się z rzeczami, do których oko i serce przywykło. Byłem wypełniony Grecją, jej historią, sztuką, myślą, zdarzały się chwile, że obumarła składnia języka greckiego rozrastała się w mózgu do potęgi jedynie możliwego wyrażania uczuć. I oto wiózł mnie okręt ku tym bliskim i nieznanym brzegom.

Wczesnym rankiem wyszedłem na pokład. Właśnie minęliśmy Dardanele. Otworło się Morze Egejskie wyzłocone pierwszymi promieniami słońca. Oczy biegły po drobnutkich falach i bawiły się błyszczącymi iskierkami. Na skałach niedalekiej wyspy świt dogasał. Krańce widnokregu obiegał pas ciemniejszy, istotnie barwy fiołkowej, tak jak to Widział Homer. Nagle wypłynęły delfiny. Było ich kilkanaście. W szybkich jak myśl obrotach wywijają koziółki, prężąc grzbiety i bijąc płetwami. Pradawne opiekuńcze zwierzęta mórz greckich -- rumaki srebrmonogich nereid.

Na jednej z waz greckich widziałem okręt otoczony delfinami. Na pokładzie leży Dionizos. Maszt, reje i żagle rozkwitły w potężną winorośl. Liście i ciężkie, nabrzmiałe sokiem grona zwisają nad bogiem baldachimem łagodnego cienia. Dookoła skaczą delfiny. Łódź, której nikt w ruch nie wprawia, płynie dokądś, niesiona chyba własną duszą. Zdaje się, jakobyśmy i my płynęli w tym samym kierunku -- szlakiem bajki Egejskiego Morza.

Marzenia przelatują w powietrzu. Morze, co widziało narodziny Apollona i Afrodyty, jest jak czasza wycięta w olbrzymim bloku szafiru -- czasza, z której pić można bez miary spokój i wytchnienie. Płuca chłoną świetlisty eter. Światło zabija wszystkie małe myśli, oczyszcza i przeobraża wszelką nikłą rzeczywistość, zatapia ją w ogromie jasnego widnokregu. Dusza zawieszona wśród błękitnych przestworów syci się niewysłowioną słodyczą. Jakbym płynął na łodzi bez wiosel, żaglu ni steru, pod gwiazdą dobrej nadziei, prowadzony niewidzialną ręką.

W prawiekach Azja i Europa tworzyły w tym miejscu wspólny ląd, który pod naporem gwałtownych wstrząśnień rozwiął się i zapadł. Daw

ne doliny zmieniały się w zatoki, łańcuchy gór wyszły na powierzchnię i rzuciły między dwie części świata rój wysp niby pale mostu. Gdzie okiem sięgnąć, widać złociste pszczoły osiadłe na łanie bławatów. Zanim jeden szereg wysp zapadnie w liliową dalekość, już podnoszą się inne, błyszcząc słońcem, które odbija się na wysokich skałach. Wierna obecność tych kawałów ziemi, odbierając morzu pustkę i niezmierność, błogosławiła pierwszym łodziom, co wiozły modlitwę grecką ku nowym ołtarzom. Wśród nich działy się legendy wypraw i powrotów, a wyspa oddawała wyspie bohaterów, w zaczarowanym kole coraz nowej przygody.

Dzisiaj one tworzą uczucie pustki wśród radosnej chwały morza. Skały, wygracowane przez wiatry i spalone od słońca, pokrywają rzadkie liszaje zetlałej roślinności, a tylko w zagłębieniach, zbierających trochę wody deszczowej, jaśnieją płachetki zielonej trawy. Brzegi opadają stromo lub rozpryskują się w złomiska, dokoła których wirują mniej spokojne fale otoczone białymi obrąbkami piany. Nie dojrzeć ani pól uprawnych, ani osad ludzkich, ani czołen zaczepionych u wybrzeża. Wszystkie domy uciekły w głąb wysp, jakby wciąż jeszcze krążyły po morzu statki piratów.

W starożytności ten obumarły archipelag żył bujnie. Miasta i wsie swobodnie kąpały się w morzu, a na wzgórzach i przylądkach stały świątynie, kaplice lub ołtarze. Każde stulecie okrywało nową sławą odpryski zatopionego kontynentu. Na złotej lutni przepłynęła tędy głowa Orfeusza i dążąc do Lesbos śpiewała przez całą drogę. Delos pachniała kadzidłem swoich świątyń. Naksos, wycięta w kształt winnego liścia, widziała ślub Dionizosa z Ariadną. Mity, historia, poezja wyrzeźbiły każdy głaz w oblicze jakiegoś cudu lub wspomnienia.

Błogosławiona magia sławy 1 Oto naprzeciw rufy okrętu wysuwa się garbaty grzbiet wyspy, jakich już tyle i tak podobnych przeminęło po drodze, gdy wtem z pokładu rzuca się w tę stronę czyjś okrzyk: -- Salamina! -- i brzmi jak rycerskie powitanie.

W ATENACH

Samochód owinał się białym, duszącym kurzem i gnał po długim, prostym gościńcu. Spod grubych warstw pyłu ledwo przeglądała zieleń przydrożnych drzew. Na przestrzeni dwudziestu kilometrów z Pireusu do Aten dwa razy serce zabiło mi żywiej: gdy ujrzałem płową masę Akropolu z jego białymi relikwiami i gdy spoza zakrętu wybiegły jakby wprost ku mnie wysokie kolumny Olimpiejonu. Na triumfalnej bramie Hadriana widniał napis: „Oto jest miasto Tezeusza”. Byłem w Atenach.

Czytałem po ulicach wszystkie szyldy, napisy, afisze. Rozwiązywa-

lem znaczenie słów, które odbiegły od pierwowzorów z naszych szkolnych gramatyk, cieszyłem się każdym nie zmienionym wyrazem. Co za radość, że to zabalsamowane słownictwo, w którym spełniam tajemnicze obrzędy łączenia się z duchami ludzi dawno umarłych; żyje, jest mową codzienną, wypowiada rzeczy konieczne i pospolite!

Szedłem za grupą osób głośno rozmawiających. Zrazu wydawało mi się, że chyba nie mówią tym samym językiem, który odezwał się do mnie z murów miasta. Był to prędko, syczący, skrzypiący szwargot. Wsłuchiwałem się pilnie, zanim zdołałem wyłowić parę znajomych dźwięków. Gdzie tylko ucho podałem, wrzał dookoła ten język nazywający się „rzymskim”, jakiś mi jednocześnie bliski i daleki. Między mną a nim kładły się stulecia, w których dawna mowa Hellenów przeszła przez bizantyńską gwarę ludową i ze wszystkich wojen i najazdów wzięła w siebie słowa łacińskie, albańskie, słowiańskie, arabskie, włoskie, tureckie, francuskie. Pogmatwała się składnia, wykoszławił się sens starych wyrazów, w coraz zmieniającej się wymowie zatarły się odwieczne etymologie. Z całą znajomością greczyzny stałem na bruku ateńskim jak zwyczajny cudzoziemiec.

Wsiadając do autobusu zapytałem szofera:

-- Omonia (plac Zgody)?

Odpowiedział:

-- Malista.

Nigdy się ten człowiek nie dowie, jak mnie uradował tym jednym, małym słowem. Znaczy ono właściwie: „najbardziej” i od trzech tysięcy lat wyrażano nim w tych stronach żywe potwierdzenie. Po nieskończone razy powtarza się ono w dialogach Platona -- zawadiackie, niepewne, potulne, zależnie od tego, czy Sokrates kogoś do muru przypiera, czy pozwala mu się rozzuchwalić, udając własną niższość. A kiedy zapytałem znów o coś jednego z sąsiadów w autobusie, odparł: „Ochi” -- nie -- i na znak przeczenia podniósł z lekka głowę do góry. Ten odmienny gest, ta osobliwość, wyróżniająca już bohaterów Home- jryekich, była jak powitanie dawnych dziedziców tej ziemi, którzy niby umówionym znakiem stwierdzali, że istotnie znajdują się w ich kraju.

Wysiadłszy pod zakurzonymi palmami placu Zgody zacząłem krążyć po najbliższych ulicach. Zauważyłem wówczas pod domami szeregi stolików nakrztvch szklanymi gablotkami. Siedzą przy nich „wekslarze” i od rana do późnej nocy zmieniają obcą walutę, wazą złoto i srebro na mosiężnych szalkach, w tajemniczym między sobą porozumieniu i wieczystej, sąsiedzkiej, ciasnej konkurencji. Stojąc przed jednym z nich miałem wrażenie, że litery z banknotów drachmowych, ułożonych pod szkłem, wyskakują ze swoich rzędów i zbierają się w sens starego zdania: „...jeżeli usłyszycie, że ja się bronię takimi samymi słowami, jakimi zwykle mówię, i na rynku koło stołów wekslarskich,

gdzie mnie nie jeden z was słyszał..." * Chciałem, oczywiście, obejrzeć się za siebie, czy gdzieś w pobliżu nie stoi Sokrates.

Ale wydłużały się przede mną ulice zbyt obce. Z olśniewających marmurowych bruków podnosił się drobny, biały pył, którym nasiąkałem bez przyjemności i bez poczucia, że lecą ku mnie atomy dobrej, znajomej atmosfery. Ruch dookolny podmywał mnie niby pal wbity w łożysko potoku. Zacięły sny, tak zbożnie wiezione do tej przystani z najdalszych szlaków mojej myśli. Osiadły gdzieś głębiej, w łąkach rozczarowań i niespełnionych pragnień. Płuca omdlewały od czadu miasta i nogi ogamiało znużenie od potrącania zwyczajnych niemych kamieni. Jak czołno, które się odwiązało od brzegu, odniósł mnie wielki strumień ulicy Patissia pod kolumnadę Muzeum.

Jakże mi dziwnie witać się ze starymi znajomymi! Biegłem ku nim po ławkach szkolnych |§| od małego świeżutkiego pulpitu z pierwszej gimnazjalnej aż do spracowanej ławy uniwersyteckiej, całej w zmarszczkach czasu i bezmyślnych scyzoryków. Poufaliłem się z nimi na wiotkich karcinach podręczników i dziełek popularnych, na kredowych stronicach uczonych książek i na pysznych światłodrukach albumów. Wszystko miało wtedy tylko jedną płaszczyznę i taką małą odrobinę życia, która wydawała mi się ogromną. A teraz byłem z nimi, w ich własnym domu. Wyokrąślały się w oczach ich kształty i rosły do właściwych rozmiarów, gesty odkrywały swój czar, marmur objawiał swoją barwę, brąz swoją bezcenną patynę. Przesuwałem dłonią wzdłuż okaleczonych posągów, szukając jak niewierny Tomasz wiadomych ran i oszpeceń.

Oddychałem olbrzymim powietrzem czasu. Od pierwotnych czerepków z niezgrabnie wplecionym ornamentem, od koślawych idoli ledwo człekopodobnych, przez nieme, nie śmiejące oddychać posągi, do coraz zwinniejszych obrotów dłuta, do coraz pieściwszych wygładzeń naskórka, od głów stężyłych w prometeuszowej glinie, od pierwszych zlepków nie ogrzanych jeszcze niebieskim ogniem, do oczu jaśniejszych nad spojrzenie ludzkie, do ust najsłodszych gotowych przemówić słowami, których serce łaknie, do ruchów tak błyszczących, tak świetnych jak promienie słońca na wodzie. W szeregach kamiennych postaci, w tysiącach waz i terakot, w nieprzelicznym mnóstwie drobiazgów ze złota, kości słoniowej, klejnotów, wszelkiego sprzętu ludzkiego życia -- widziałem majestatyczny pochód sztuki greckiej. Szły przede mną twarde ścieżki wytrwałego, nieomylnego postępu. Na każdym zakręcie widziało się, jak dawne formy rozstają się z życiem, jak zapadają powoli i jak w ich zamierających oczach dorasta niecierpliwe, świeże, młode, piękniejsze potomstwo. Osuwał się na mnie znój wieków ludzkiego wysiłku. Byłem świadkiem oszałamiających triumfów i spokoj-

I Platon: „Obrona Sokratesa*.”

nych, uległych klęsk przewycięzonych stuleci. Patrzyłem na świat umarły z jasnej wysokości życia.

Nagle ogarnęła mnie cmentarność tych sal. Gąbki wydały się szklanymi trumnami. Gemmy z przyklejonymi napisami leżały jak motyle na szpilkach. Stosy mumii i pudeł malowanych tworzyły prawdziwą trupiańnię. Z szaf wiała woń soli zabezpieczających te szczątki od rozkładu. Bezbrzeżnie, nie do zniesienia smutne stały się twarze posągów wyciągniętych rzędem pod zimnymi ścianami. Podniosła się nagle tęsknota do otwartych pól, do słońca, drzew i ptaków, do rzeczy wiecznie żywych, jawnie pośród świata bytujących.

I odepchnął ją zwarty szyk wielkich kamienic wzdłuż prostej, szerokiej ulicy.

Zanim jeszcze zaszedł mój pierwszy dzień w Atenach, patrzyłem na miasto ze wzgórza Likabetu. Leży sobie miękko, wygodnie, w dostatku nie zabudowanych przedmieść, po które wyciągną się wkrótce łapki regulacyjnego cyrkla. Otacza je po brzegach trochę szarej zieleni gajów oliwnych. Pośrodku dwa główne place -- Zgody i Konstytucji -- nie owe naturalne, przez życie oddzielone kwadraty, które w starych miastach tradycja upiększa i podnosi, ale ze ścisłej rachuby wynikłe pustki u zbiegu ulic, ze skwerami i przystankiem tramwajów. Dookoła rozsypane łuski dachów, na których nie brak ani jednej dachówki. Pod nimi widać równiutką biel fasad, balkony nieskazitelnie odlane z żelaza według kilku wzorów, okna o szybach czystych, nie załamujących się tęczą starego szkła, ogródki z mieszczańską zapobiegliwością podzielone sztachetami na „moje” i „twoje”. Wszystko zaledwie wczorajsze. Nowe kamienie nie wciskają się pomiędzy stare, powozy nie wjeżdżają w odwieczne bramy, które poszczerbiła historia. Trzeba wyjść właściwie za miasto, aby zobaczyć ruiny, dokoła których bawią się dzieci.

Tak z góry, jak i z dołu -- miasto nowe, świeże, błyszczące. Ma zaledwie sto lat. Chateaubriand widział tu jeszcze wieś albańską. Po odzyskaniu niepodległości zbudowano stolicę jednym tchem. Szły pieniądze od bankierów greckich z całego świata. Odkopano zapomniane kamieniołomy. Znowu pojawił się śliczny marmur pentelikoński, biały, drobnoziarnisty, ten sam, z którego stawiano Partenon, i solidny hyme- tyjski, szaroniebieski w ciemne żyłki. Panował wówczas król Otton, Bawarczyk. Z Monachium przyjechali architekci. Byli to rzetelni mularze, którzy wykuwali w kamieniu reguły swoich podręczników. Królowi zbudowali koszary zamiast pałacu, wzniesli kilka czy kilkanaście gmachów w „neoklasycznym” stylu -- pełne kolumn, fryzów, polichromii, dokładne i uczone jak lekcja starożytnej architektury, całe miasto porznęli długimi, nie na żar tutejszego słońca, szerokimi ulicami. Obcy, niby najeźdźcy z północy, zdobyli Ateny dla siebie, narzucając im prawa własnego budownictwa.

Tylko nazwy ulic zostały greckie i niesamowicie starożytne. Obejmują całą mitologię, historię, literaturę Hellady. Idzie się jak po kolumnach leksykonu, ułożonego cierpliwie i z ostrożnością, żeby nie pominąć ani jednej sławy. Istnieje nawet dzielnica poświęcona osobom Platońskich dialogów. Ani razu nie powita nas jakieś imionisko, do którego serce od wieków przywykło, bo narosła na nim tradycja dziejów i anegdoty. Tylko pod Akropolem jest jedna uliczka mała, kręta i niesforna, o nazwie prastarej: odos Tripodon – ulica Trójnogów. Niegdyś zdobiły ją pomniki tych, co odnieśli zwycięstwo w teatrze przez wystawienie najlepszego chóru. Były to jakby kapliczki z brązowym trójnogiem na szczycie. Została z nich tylko jedna. Ale ta smukła budowa, uwieńczona dionizyjskim fryzem, wystarcza, aby przesunąć całą dzielnicę ku cichej poezji starych miast, wylęgających pod swoimi fundamentami legendę.

Spod pomnika Lizikratesa wyciąga się długi, rozwlekły okrzyk:

-- Por tok al i a ke limoni!

To handlarz owoców popędza osła z ładunkiem cytryn i pomarańcz nakrytych liśćmi wawrzynu. Środkiem ulicy biegną kozy. Zaułki, w miarę zbliżania się do Akropolu, stają się coraz gęstsze. Przy samym wzgórzu domy zbierają się w nierozwikłane gromady -- jedne niskie, że ręką można sięgnąć dachu, inne wyskakują na dwa pięterka w górę. W szarych murach, z kamyków i błota, wyblýśnie czasem biały odłam kolumny lub posągu. Każda drożyna ucieka w sień jakiejś lepianki, trzymającej się wątlými fundamentami żywej skały. Wśród rozwieszonych sznurów bielizny, wśród bluszczu pnącego się po odrapanych ścianach, wśród pisku dzieci i klekotu drobnych warsztatów dogasa upał dnia, który tu zawsze jest jakby przyćmiony.

W obrębie tej dzielnicy przechowały się jeszcze okruchy starego obyczaju, pstre zlepisko antyku, średniowiecza i Wschodu. Dookoła ruin Biblioteki Hadriana i na placu Św. Pantalejmona trzymają się resztki dawnego bazaru tureckiego, który zajął miejsce starożytnej agory. Nieprzeliczone kramy, stragany, sklepiki, piwnice pachną z daleka owczym masłem, oliwą i rozgrzanym mięsem. Spośród targowiska ucieka ku śródmieściu długa ulica Hermesa, otwierająca się wielkimi wystawami modnych magazynów.

Byłaby i ona zupełnie pospolita, jak wszystkie powleczone europejskim tynkiem, gdyby nie kilka czy kilkanaście drzwi wąskich i ukrytych, które prowadzą do sklepów osobliwości. Jest to zazwyczaj jeden pokój, ciemny i chłodny. Na ścianach wiszą bizantyńskie ikony o poczemiałych figurach na złotym tle, broń staroświecka, inkrustowana kością słoniową, wysadzana drogimi kamieniami, kropierze, czapraki, pasy ze skóry i jedwabiu, dywany, fajki tureckie, laski o srebrnych gałkach, różańce z bursztynu i drzewa sandałowego -- cały lamus orientalny, pachnący dalekimi krajami, uwiązany do nazw Smyrny, Konstan-

tynopola, Aleksandrii, Damaszku, nasuwający myśl o karawanach, co idą przez pustynię, po trupach miast zasypanych w piasku.

Obok szaf oszklonych i stołów, gdzie leżą brązy, terakoty, wazy greckie, porcelany, fajanse, podnoszą się rzeźbione wieka kufców o miedzianych okuciach. W nich, jak w skrzyni królowej Hekabe, leżą stosy materii jasnoczerwonych, szkarłatnych, pomarańczowych, niebieskich, zielonych, żółtych -- wszystkie kolory tęczy, soczyste i mocne: kilimy i hafty, szale, koszule, spódnice. Nieuczone dziewczyny chłopskie improwizowały na tych misternych tkaninach najcudniejsze kaprysy linii, ornamentów, arabesek. Najwytworniejsze hafty pochodzą z Arachowa, z Orzechowy, wsi wyrosłej w X wieku na gruzach prastarej Anemorai, kwitnącej do dziś nie opodal Delf, wśród szmeru strumyków i bujnych winnic. Grecka Arachne osiadła pod słowiańską strzechą.

Nie wiem, co miał na myśli Pindar nazywając Ateny -- „uwieńczone fiołkami”. Może podsunęło mu te słowa przypomnienie jakiejś procesji, może wynikły ze spotkań z ludźmi, którzy kochali kwiaty. Nie podobna przypuścić, żeby odnosiły się do samego miasta. Nawet jeśli nasza wyobraźnia napelni koryto Ilissosu żywszą strugą, jeśli podniesie z ogołoconych wzgórz zieleni dawnych lasów, nasze powątpiewanie trwać będzie nadal w suchym skwarze attyckiej skały. Przecież i ta najbardziej „wilgotna” scena z platońskiego dialogu, baziami pachnąca rozmowa Sokratesa z Fedrosem, ma za tło strumyk, który piteejść można zamoczywszy nogi zaledwie po kostki. Płatany, które szumiały nad ich głowami, i dziś rosną w tym samym miejscu, na wysepce ujętej w widły Ilissosu, a w najbliższym sąsiedztwie jest może nawet więcej zieleni, niż jej było wówczas.

Rozwija się stąd wielka przestrzeń dawnego parku królewskiego, prawdziwa fundacja cienia, kosztowne dzieło dobroczynności, na które sama przyroda nie mogła się zdobyć. Krótkie, błędne ścieżki przebiegają wśród starych drzew, pod pergolami opiętymi powojem lub winoroślą, przez pachnące zarośla wawrzynów. Pod palmami i eukaliptusami, w zakamarkach paru starożytnych szczątków, pije się cień jak dobrą, chłodną wodę. Ale ogród żywiony sztuczną wilgocią podziemnych kanałów, wszędzie tam, gdzie niezbyt dokładnie założono rury dopływowe, odsłania grunt spalony, nagi lub zarosły splowiałymi chwastami. Na drzewach wiszą tablice z napisem: „Zanim odrzucisz zapalną lub papierosa, uważaj, gdzie rzucasz” -- każda iskra może tu rozpalić pożar. Trawników nie ma. Pod drzewami tulą się małe grządki kwiatów, na których wschodzą równocześnie, pomieszane z sobą, bratki, mak, koniczyzna hiszpańska, tytoń, dymnica, goździki.

Jedynie w kwietniu, który jest dla Aten jakby powrotem Persefony, zawisa nad miastem błogosławieństwo wiosny. Zdarza się wtedy widzieć różowe płomyki drzew migdałowych, klematycja rozciąga dokoła altan swe długie palce, na przedmieściach mury przydrożne okrywa

pasiflora, a po starych sztachetach pną się dzikie róże. Ale na całe lato zostają tylko po ulicach platany i drzewa pieprzowe, i doniczki na oknach. Mirty i oleandry, które kwitną w lipcu, ledwo rozwinięte giną pod skwarem i pyłem. Wtedy ze szczególnym uporem przypominają się wiersze poetów. Są rzeczywiście jak utajone w kielichach kwiatów krople rosy. Wydaje się, że spadły nagle z nieznanego nieba, pod którym dojrzewało kiedyś lepsze, piękniejsze życie. I są jak zgubione nawoływania po lesie, za którymi się idzie na przekór swej woli i mimo że nie nas wołano.

„Pójdiesz do Akademii. Pod cieniem świętych oliwek przechadzać się będziesz w wieńcu z rozkwitłego sitowia. Napoisz się wonią cisa i świeżych pączków białej topoli. Radować się będziesz wiośnie słuchając, jak szum jaworu miesza się ze szmerem wiązków.” * Ktoś późniejszy od Arystofanesa mógłby mi obiecać jeszcze więcej: dom biały na ustroniu i wpółuchylone drzwi, za którymi słychać głos Platona.

Poszedłem. Lecz rozmowę jaworu z wiązem dawno przerwała czyjaś siekiera, a wiosna przykucnęła cichutko pod parkanem cmentarza, wśród niewielkich ogrodów, gdzie jest nieco jarzyn, oliwek i cyprysów. Wizję młodych ciał, które niegdyś goniły po trawie, i młodych duchów, które zbierały się dokoła Platona, przesłonił jednolity budynek kliniki położniczej.

Nie opodal zaś mały wzgórek wapienny, niby ocalały kopiec graniczny, objaśnia położenie starożytnego Kolonos Hippios. Tu narodził się i mieszkał Sofokles. W swoim domu gościł przez kilka miesięcy boga. Kiedy bowiem Ateńczycy sprowadzili z Epidauros posąg Asklepiosa, kaplica pod Akropolem nie była jeszcze gotowa. W całym mieście nie było rąk godniejszych, aby przyjąć niezwyklego przychodnia, nie było dostojniejszego dachu, pod którym mógłby spocząć. Dom poety już wówczas wydawał się świątynią, zanim stał się nią naprawdę, zanim samego Sofoklesa ogłoszono po śmierci herosem.

Z tego pogórka, patrzącego wprost na Akropol, stary wieszcz obejmował rozradowanym spojrzeniem najdroższy pejzaż. „Wszedłeś, cudzoziemcze, do kraju, który rodzi sławne rumaki, do najpiękniejszej na ziemi okolicy, do jasnego Kolonos. Zielone krzewy trzęsą się od słodkich śpiewów słowicznych, gaj święty porasta drzewami pełnymi owoców, wśród których pnie się bluszcz ciemny jak wino. Ani wiatr, ani burza, ani skwar tu nie dociera. Na święta bachiczne zjeżdża w nasze strony Dionizos z orszakiem swych boskich piastunek. Pod rosą niebieską codziennie rozkwita cudny narcyz, odwieczny strój Wielkich Bogiń, i szafran złocisty. Strumień Kefisowy otwiera nigdy nie wysychające bezsenne źródła, co żywią dookolne łąki, i dzień w dzień, pod niezmaconym cieniem, przepływa równiny, podnosząc łatwą płodność

I Arystofanes: „Chmury”.

gładkiej jak pierś ziemi. Zatrzymują się tutaj chóry muz i Afrodyta, co powozi złotymi lejcami." *

W dzisiejszej zieleni zachowała się odrobina owej poetyckiej prawdy. Nad przedmieściem podnosi się opar wilgoci, od starodrzewu przelatuje cieniuchne tchnienie świeżości.

Ilekoć zdarzy się, jak tutaj, przemknąć stopą po tak wyraźnych śladach (czasem odczuwa się wręcz ciepłe dotknięcie powitania), doznajemy uczucia poczciwych prostaków, którzy żałują, że Chrystus nie przyszedł na świat gdzieś w pobliżu ich chaty -- bo i nam się wydaje, że gdybyśmy u siebie mieli takie dziedzictwo, usunęlibyśmy się z drogi wszystkim pamiątkom i osiedlibyśmy z dala od nich, na czatach. Tak bardzo trudno pogodzić się z myślą, że żyć to znaczy koniecznie odtrącać od siebie to, co umarłe. Nieznośne wydaje się zuchwalstwo, z jakim nowoczesność rozpiera się pod tymi stropami, których wiązania jeszcze widzimy.

Może dopiero trzeciego dnia, może już wcześniej, ulice ateńskie stały się dla mnie już tylko niezbędnymi przejściami ku rzeczom leżącym poza nawiasem ich życia. Pamięć zachowała jakieś oderwane drobiazgi: dorożki torujące sobie drogę dzwonekami, starzy obywatele po brzegach kawiarni obracający w palcach bursztynowe paciorki, gwardziści w trzewikach z pomponami -- błahe, roztargnione spojrzenia. Zapewne jest w tym ruchu wielkomięskim jakiś zbożny sens, coś tam się przerabia i klaruje na podniosłe sprawy narodu, pełnego soków, z oczyma wyraźnie odwróconymi ku przeszłości.

Ale nam pilno do naszych zajęć. Na stopniach Tezejonu, w żółte jak miód południe, czytać będziemy „Fedona”, póki mrok nie przyćmi książki. Między wysokopiennymi kolumnami Olimpiejonu chodzić będziemy jak w lesie wyciętym. Małymi ścieżynami obiegniemy stoki Akropolu, zaglądając do szczelin, w których śpią sowy -- tak dawniej, uczepione do skały, wisiały kapliczki bogów. W szkarłatny wieczór usiądziemy na ławie teatru Dionizosa -- w najwyższym rzędzie, skąd widać skrawek morza -- na brzegu marmurowego krateru, gdzie rumianek kołysze nieprzeliczone kadzielniczki ciepłej, dobrej woni.

Robimy to wszystko, na co Ateńczycy nie mają czasu. Nikt z nich nie wie, że na łysym Pnyksie echo kroków rozpryskuje się na drobne, zgłuszone szmery, jakby im odpowiadał szelest stóp przeminionych zgromadzeń ludowych. Nie mają ucha dla tych rzeczy i nawet nie domyślają się, ile głosów nie wysłuchanych przelatuje ponad ich głowami zwykła dola stałych mieszkańców sławy. To my dopiero --j ludzie z daleka -- gubimy kierunek dzisiejszych dróg i pod ich płytami odnajdujemy zatarte ścieżki.

Co za rozkosz brać w siebie, czuć w sobie cały ów świat zamierzchły!

STOLICA NIEBIESKA

Ciężka, ruda skała twardo osiadła na krajobrazie Aten. Zjawia się na końcu każdej drogi i zawsze jej najpierw szukają nasze oczy. Przygniotła sam środek kłębka, z którego wysnuwają się ulice Aten. Uciekają spod jej ucisku, kryją się poza płaszczyzny domów, lecz i najdalsze niteczki, pozornie rozerwane, muszą do niej powrócić. Od nowego miasta ku starej górze zamkowej rozwija się długi, szeroki bulwar, jak biały pergamin przymierza. Lecz u stóp Akropolu przechodzi w wąską ścieżkę, która idąc na szczyt wśród agaw i oliwek wygina się zakrętami niby w kolejnych pokłonach. I znika, rozściela się w proch przed marmurowym majestatem Propylejów. Wszystko, co zostało na dole, wydaje się małe. Tylko po brzegach widnokregu trwa podobłoczne sąsiedztwo: śnieżysta piana Parnasu, różowa chmurka Akrokoryntu i sina pręga wierchów peloponeskich.

Między kolumnami Partenonu wiatr szumi jak w lesie. Na wielkiej perspektywie powietrznej rozpinają się cudne słupy niby struny harfy. Dosłyszalnie dla ucha wygrywają swą niezrównaną harmonię. W świątyni nie ma nic prócz nieba. Słońce przebiera promieniami po kanelu- rach i dobywa z nich ciche, złociste tony. Wzdłuż marmuru spływa patyna jak fala zbóż dojrzałych lub ulewa liści jesiennych. W odlupanych szczerbach świecą ziarna białego kamienia jak diamenty. Niewidzialnymi żyłami rozbiega się po gmachu ciepło dnia i cały dom boży oddycha wonią rumianku. Pod samym szczytem słychać tętent koni: na górnym fryzie jedzie orszak efebów. Pędzą ponad czasem jak wieczna, niezniszczalna młodość. Gubią po drodze podkowy szczęścia.

Z przeciwnej krawędzi skały idzie wprost ku nim sześć dziewczic. Zgięte w ruchu kolana przeglądają spod marmurowego płótna -- czyste jak kolana Nauzykai. Idą rytmem tak zgodnym, że nie zawaha się ani jedna fałda ich szat opadających ku stopom długimi, równymi bruzdami żłobkowanej kolumny. Pod przysłoną delikatnych peplosów tętni życie zdrowego ciała. Prężne uda dźwigają w rozwarciu bioder jędrny tors, rozkwitły kulami wypukłych piersi. Związła szyja -- soczysta łodyga kwiatu -- trzyma w niezachwianej pewności głowę obciążoną grubymi warkoczami. Oczy znają swój cel, zamknięte usta nie przywykły pytać o drogę. Kariatydy Erechtejonu idą tak powoli, jakby całą wieczność miały przed sobą.

A w drugim przedsionku równie dziewicze kolumny jońskie stoją zatopione w rozważaniu swej niezgasłej świeżości i urody. Nie widzą pustki, która je otacza, nie spostrzegły nawet straty swojej szóstej siostry. Wysmukłe, wspięte ku górze, biorą kąpiel ze słońca i powietrza. Skręty ślimacznic wiją się na głowicach jak rozczesane, puszyste loki. Proste dziewczęce ciała, gładkie i smukłe, nie drgają żadnym pragnie

niem, żadną myślą, prócz tej chyba, żeby tak zawsze stać w podziwie tych wszystkich oczu, które im służą za zwierciadła.

I jeszcze -- w ściśniętym odosobnieniu dawnego bastionu, pod przepychem Propylejów, które tę ustroń czynią jeszcze bardziej ciasną, ukrywa się mała świątynka Nike -- dziecko schowane w krzakach, biedna sierotka siedząca na progu. Jest taka mała i krucha, aż lęk bierze, żeby jej wiatr nie zdmuchnął w przepaść, która jest pod nią. Wstydzi się swoich całych murów i nie naruszonych kolumnienek. Wstydzi się tego przebrania, bo wszystko jest na niej połatanie i Jakby nie własne. Obce ręce złożyły ją z porozrzucanych kamieni, wygładziły szczyby ścian, wywiodły wiązania stropu. Powinna oto leżeć w prochu, obok zwalisk bardziej potężnych, i być jedynie wspomnieniem. A tak, sklecona cudzą umiejętnością, chatynka boża nie wie, po co istnieje, skoro już raz umarła i skoro odleciały od niej skrzydlate boginie, które strzegły jej zagrody.

Zobaczyć je można w drugim końcu wzgórza, w małym muzeum, do połowy ukrytym w ziemi. Płaskorzeźby z marmurowej balustrady, która niegdyś otaczała świątynkę Nike, przedstawiają boginie zwycięstwa zajęte ofiarami. Jedne ze zbroić nieprzyjacielskich układają trofeum, dziwaczego żelaznego chochoła, którego stawiano na pobojowisku, inne stroją ołtarz lub prowadzą jałówki. Z dala od towarzyszek zatrzymała się Nike zawiązująca sandał.

Znacie tę Nikę Fidaszową,
jak sandał wiąże szybka,
jak ze zwróconą w górę głową
(tej brak, gdyż dzieło jest fragmentem),
wstrzymana w locie, gibka,
sandał chce splątać rozplątany,
a strój jej, taśmą nie wiązany,
z polotnych fałdów tors odkrywa
i pierś na ciele wpółprzeiętym.

Szata jest w przedziwnej harmonii z ciałem. Jakby go nie zakrywała, jakby nie była czymś obcym, narzuconym, tak się z nim zgadza miłośnic; podobną lekkość tworzy tylko wiatr rozdzielający na niebie obłoki. Czas urwał tej postaci głowę i obydwie "lęce, lecz ani jej nie obezwładnił, ani nie zdołał zniszczyć urody jędrnego ciała, przeiętego w ruchu miękim i mocnym. Nie ma skrzydeł, a jest lotna, powiewna, chyża jak wiersz Pindara -- „dla bogów wszystkie drogi są krótkie”.

Wyraził się tu w pełni wdzięk geniuszu greckiego. Płaskorzeźba jest logiczna w swym układzie i w najdrobniejszych szczegółach, a jednocześnie poetyczna, jakby dźwięczna. Spokojna i zrównoważona, rozkwita piękną wymową draperyj, póź i gestów. Swobodna, jasna, wy

razista objawia ów swoisty greckiej myśli wysiłek, by wyzwolić się z mroków, odwrócić od wszystkiego, co niezrozumiałe i mgliste.

Wyspiański omylił się w rodowodzie tej marmurowej bogini; artysta, który ją stworzył, minął już granice nieco surowej monumentalności Fidiasza i pochylił się ku nowej epoce, ku formom bardziej ludzkim, miękkim, wytwornym. Nie wiadomo, kto nim był, ale to pewne, że już należał do czasów, kiedy pieśczęty coraz ostrożniejszego dłuta zaczynały nadawać marmurom delikatność kobiecego naskórka. Oto z nadchodzącego czwartego wieku zbliża się już młody Praksyteles, który ośmielił się z bogini zdjąć szaty. Oczywiście te Wiktorie nigdy ich nie zrzucą; nie mają poczucia tajemnicy swoich ciał. W postawach, w ruchach, w całej ich wzniosłej obecności wciąż jeszcze brzmi czysta poezja Sofoklesowa. Każda z nich, jeśli stąd odejdzie, stanie się Elektrą, która ociera pianę z ust brata, albo Antygoną, greckim aniołem, albo pewnego dnia wyrosną im skrzydła, które czujemy już u ich ramion, i odlecą na podobieństwo uskrzydłonych dusz z „Fajdrosa”.

Wyszędłszy z chłodnego podziemnego mieszkania-bogin, jeszcze ostrzej odczuwa się samotność gorącego wzgórza. Same kamienie, jak rozrzucone członki, poszarpane ścięgna, wydarte Wnętrznosci czegoś, co było kiedyś istotą żywą. Przypominają się nagle słowa Pauzanasza: „Jest na Akropolu kamień niewielki, ale taki, że w każdym razie człowiek na nim siedzieć może. Tutaj, w czasie kiedy Dionizos wjeżdżał do kraju, miał spocząć Sylen.” Nic w tym kamieniu nie było, co miałoby jakąkolwiek wartość w oczach łupieżców wszystkich czasów. Gdy niebo greckie poszło w gruzy, mógł ocaleć, szary i nikły, i któż mi powie, czy któryś z tych nieużytecznych kamieni, rozsypanych między Propylejami a Partenonem, nie jest tą zapomnianą relikwią?

Ponad pustkowiem głazów przetykanych rzadkimi krzakami włada prawdziwie i niepodzielnie Partenon. Nie ma ani wysokich regionów katedry gotyckiej, ani ogromu piramid, ani blasku kościołów stojących w ozdobie fresków, rzeźb i witraży. Nie ma nawet tyle mocy, aby uwięzić spojrzenie, które swobodnie wybiega na otwarte zewsząd widnokregi. Rozpryskują się wniwecz szturmy nagłych uniesień. Wszelka popędliwość zostaje odepchnięta stanowczo i na zawsze. Powoli odsłaniają się skarby dziwnego gmachu. Jedyne cierpliwe, pokorne oczy znajdą dostęp do jego tajemnic. Dzień za dniem, jak szczebel po szczeblu prowadzi do pełnego rozumienia.

Widziałem Partenon w pierwszej godzinie przyjazdu, jak białął pod żarem południa. Patrzyłem nań z bliska i szukałem go ze wszystkich odległości. O zachodzie słońca rozwijał się jak kwiat brzoskwini. Raz w nocy, podparty ciemnością i chmurami, wypełnił się, sprzął rozdarte człony i na jedną chwilę księżycowego blasku rozparł się na ogromnym mroku krótką jak błyskawica wizją swojej dawnej formy. Do dziś pamiętają brzusce moich palców jego marmurów szorstkość -- osobną,

nieporównaną z żadnym innym dotknięciem. Przez trzy tygodnie, przesiadując na przewróconym bębnie kolumny, uczyłem się Partenonu na pamięć.

Z niewyczuwalnych dla oka rozmiarów złożyła się ta wzniosła poezja geometryczna. Każdy kamień wylamywano w jarach Pentelikonu z dokładnym określeniem miejsca, na którym miał stanąć, celu, do którego miał służyć. W pobliżu świątyni znaleźli archeolodzy dół wypełniony nie zużytymi częściami kolumn. Trzeba długich badań, aby dostrzec na ich nieskazitelnych powierzchniach tę wadę lub skazę, dla której je odrzucono. Bębny kolumn, nie spojone cementem, połączono z sobą tylko brązowymi klamrami w środku trzonu, a ich płaszczyzny zachodzą na siebie z doskonałością złotniczej roboty. Fidiasz -- bo jedynie jego imię może tu być wymówione -- znał sekrety marmurów, jakby współdziałał w skupianiu się ich atomów. Twardość i opór kamienia potrafił przełamać tak, że przyjmował układ najsubtelniejszego rysunku. Stopnie głównego wejścia tworzą widomie prostą linię, a pod libelą wykazują pewną krzywiznę, obliczoną na kaprys naszej optyki. Fidiasz rozumiał mowę światła i cienia. Kolumny narożne mają średnicę większą od innych, gdyż wystawione na pozerające działanie wolnej przestrzeni przy tej samej objętości wydawałyby się zbyt smukłe. Z najtrafniejszych proporcji, z ostrożnych nachyleń, z ledwo pochwytanego wyjęcia kolumn, ze ścisłych zestawień szczegółów, które niewątpliwie mają jeszcze niejedną tajemnicę przez nas nie odkrytą -- złożył się zwycięski plan i rachunku.

Tylko raz jedyny mogło powstać takie dzieło. Następne, choćby przez tych samych ludzi tworzone, byłyby podobne, bliskie, lecz już poniżej albo powyżej tu zaczarowanej miary. Na pozór nie ma żadnej osobliwości wyróżniającej Partenon od innych budowli doryckich, rozrzuconych po Grecji, Sycylii, południowej Italii. Wszystko zamyka się w tych samych poważnych, spokojnych liniach. Ale punkty, które je łączą, biegną tutaj bardziej strzelisto, dążą ku szczytowym osiągnięciom. W atmosferze wysokiego natchnienia stare prawa architektoniczne dojrzewają po prostu w platońską ideę świątyni doryckiej, w olśniewający prawzór, którego wszystkie inne są jeno ziemskim odbiciem. Mimo że tak widome są na Partenonie ślady ziemskich wstrząśnień, rodzi się przekonanie, iż nie ziemia jest jego podstawą.

Ale pomiędzy mną a jego czasem cienie już nazbyt się wydłużyły. Greckie południe błyszczy ku mnie z daleka, jakby przez siatkę zmierzchu. Chłodnym ostrzem wcina się w duszę czysty rysunek Partenonu. Dookoła jego niesamowitej prostoty, dookoła jego niezmaconego spokoju krąży szumnym zgiełkiem mój niepokój. Serce się waha. Po tamtej stronie zmroku widzę białą boginię i chociaż usta drżą do pocałunku, moja ręka nie śmie się wyciągnąć po skraj jej szaty. Trzeba długich godzin, których nieruchomość jest podobna głębokiej modlitwie, aby

rozwiały się mgły i myśl nappełniła się pogodą. Wtedy, dopiero wtedy, pod kolumnami Partenonu, odczuwam na chwilę krótką, lecz ogromną jak szczęście -- ową „ciszę morską duszy”, dla której w żadnym języku nie ma wyrazu, a którą Grecy nazywali: „sofrosyne.”

Partenon, mimo swoją królewskość, nie był właściwą katedrą ateńską. Był nią ów dziwaczny konglomerat budynków, Erechtejon, który Ateńczycy zawsze nazywali „starą świątynią” z tą żywą tkliwością, jaką się ma dla rzeczy tak dawnych, że nieomal wiecznych. Nakrywała ona miejsce cudów, o śladach stóp i dłoni bożych. Tam walczył Posejdon z Ateną, tamtędy przeszły „dziewice rosy” z tajemniczym koszem, tam rosła pierwsza oliwka i biło źródło słonej wody, które falowało za powiewem południowego wiatru. Boginię wyobrażał drewniany posążek, „dar nieba”, zmurszały szczątek prawieków. Kapano go w morzu, barwiono, otulano w drogocenne szaty, strojono klejnotami. Przy tym świętym próchnie Fidiaszowa Partenos, ze złota i kości słoniowej, była czczą ozdobą raczej świeckiego gmachu.

Fidiasz był mędrcem. W posągach i w architekturze, w natchnieniu własnym i w promieniach, które kładł na dalekie pokolenia, wcielał, utrwał, przekazywał boskie pojęcie Rozumu, wiszące nad światem na dwóch skrzydłach: równowagi i harmonii. Świątynia, którą budował, nie dawała schronienia ludowym bóstwom i nie była przeznaczona dla tłumu. Sama była jakoby przedsionkiem stolicy niebieskiej, przybranej w ciszę nieba i spokój wieczności, którą duch jego wielkich czasów wznosił na horyzoncie świata.

W obrębie Partenonu, jak w relikwiarzu, zamknięto przeobrażone, ubóstwione Ateny. Dookoła świątyni biegnie fryz nappełniony wielkim mnóstwem osób. Przedstawia procesję panatenajską, w której idą starcy, mężowie, dziewice, młodzieńcy i chłopcy. Prowadzą zwierzęta ofiarne, niosą kadzielnice, dzbanki z wodą, małe krzeselka, wici zielone lub po prostu z próżnymi rękami grupują się w szeregi i stoją oczekując swojej kolei. Wszystko, co czynią -- czynią pięknie. Chłopiec zawiązujący rzemyki u sandała, mistrz ceremonii nawołujący jeźdźców, mężczyzna oparty na lasce -- każdy gest, na ziemi bez znaczenia, w tej górnej atmosferze przemienia się w czynność doniosłą. A układ fryzu jest taki, że widać istotnie całe miasto. Jeźdźcy, którzy jeszcze czynią przygotowania, znajdują się za bramą Dipylońską, gdy inni już wjechali w ulice miasta i powściągają konie za plecami pieszego pochodu. Dziewczyny, które wyszły wcześniej, wstępują zwolna na stoki Akropolu i niebawem połączą się z tymi, którzy na szczycie wzgórza oddają do rąk kapłana szatę poświęconą w ofierze bogini. Bez wielkiego wysiłku wyobraźnia zappełnia obraz architekturą domów i świątyń ateńskich.

U żadnego z pisarzy starożytnych nie ma wzmianki o fryzie partenon- skim. Umieszczony bardzo niekorzystnie, pod samym stropem, prze-

słonięty kolumnadą, która chowała go zawsze w półmroku -- przeszedł nie zauważony. Ma się wrażenie, jakby go w ogóle nie przeznaczono dla starożytności -- jakby jego dzień odmierzone dopiero na tę chwilę, kiedy pułap runie, a kolumny rozluźnią swoje uściski. Dziś pochód wydobył się z ciemności i sunie po nie ugaszonej fali światła. Trzeba oczy nakryć dłonią, by sprostały tym płonącym szatom i ognistym ciałom. Przez rozsunięte palce patrzymy ku nim jak przez mgłę marzenia.

Utrwalone w nieomyślnej rzeczywistości marmuru, jawią się po raz wtóry osoby naszych snów. Chociaż tłum fryzu przeciąga bezimiennie, umiemy każdą postać powitać jej właściwą nazwą. Wszyscy tu są: zwycięzcy spod Maratonu i Salaminy i ci, co jeszcze wczoraj zawiesili nad ołtarzem olimpijski wieniec oliwny; wśród jeźdźców wyraźnie dostrzegam Alkibiadesa, jak ściąga uzdę konia, pochylając piękną głowę nakrytą szerokim kapeluszem tesalskim; skupiona gromadka obywateli otoczyła swym kołem jakąś myśl, która bije skrzydłami pod ich łagodnym spojrzeniem; w orszaku dziewic kroczą Ifigenie, Elektry i Antyfony.

Znamy ich wszystkich od dawna. Widzieliśmy ich na ławach marmurowych teatrów, na żółtych boiskach gimnazjonów, w zielonych gajach Akademii, dookoła mównicy Peryklesa, w chłodnych świątyniach przy posągach promiennych bogów. Pod wieczór spotykaliśmy u studni dziewczyny z hydriami na głowie i czekaliśmy, aż któraś ze śmiechem poda nam wodę. Pamiętamy zapach kadzidła w fałdach szat kapłanki. Takie same oczy patrzyły na nas z historii, poezji i filozofii greckiej. Takie same piękne dłonie prowadziły nas po asfodelach wyśnionego życia, utkanego z samych blasków, gdzie cienie były tylko pod starymi platanami.

To fantastyczne miasto zawieszane w obłokach, ta urbs beata nie owiana żadnym ziemskim zaduchem, jest symbolem całej ówczesnej twórczości. W wielkim laboratorium geniuszów, jakim były Ateny V wieku, odkryto sekret usunięcia pospolitego obrazu życia i zastąpienia go tak potężnym ideałem, że po wiekach mógł się wydawać prawdziwą, jedynie utraconą rzeczywistością. Kilkadziesiąt duchów, których imiona podnoszą się w pamięci odurzającym tumanem, szło zwartym zastępem demiurgów rozdzielających światło od ciemności. Pod ich dłońmi i tylko z ich woli dokonał się na krótko ideał życia greckiego -- najwyższa radość ludzi i jakby zawieszane ponad nami zwiastowanie.

Uległo przeobrażeniu wszystko, co przypadkowe, co może się zdarzyć lub powtórzyć w każdym środowisku ludzkim. Rozpięto ponad życiem wspaniałą kopułę, aby ku sobie wyłącznie ganeła spojrzenia, nie pozwalając im prześliznąć się po zaniedbanych czy niedokształconych niższych piętach. Stworzono nieśmiertelne pozory. Każdy objaw życia nabral olśniewającego blasku i monumentalnych rozmiarów. Historia

małego kraju, drobne prowincjonalne zatargi, nikłe przewroty w łonie gmin miejskich wyolbrzymiały na legendę najdonioślejszych edarzeń. W religii ukryto prastare gusła i zabobony i zamknięto je w jakimś oddalonym lamusie, do którego nie wpuszcza się obcych, a otwarto jawnie przestronne podwoje marmurowych świątyń zamieszkałych przez bóstwa nieporównanej piękności. Tragedia narzucała myśl o idealnym widzu zdolnym do najsubtelniejszych poruszeń serca, do chwytania najlotniejszych obrotów słowa. Dialogi platońskie ukazywały społeczeństwo filozofów i myślicieli. Pod dłutem rzeźbiarzy wyrósł nowy rodzaj ludzki, bujna i świetna rasa, która nie postarzeje się nigdy. Nawet śmierć przyjęła niepojęty dla nas wyraz pogody i spokoju. W promieniach tej cudownej złudy wzeszedł ów pogodny letni dzień ludzkości, który nazywamy Grecją.

DROGA MISTYCZNA

O szarym świcie wyszedłem z Aten w stronę bramy Dipylońskiej. Ta brama już nikogo dziś z miasta nie wyprowadza. Jej szczątki objęto żelaznymi sztachetami wraz z częścią starożytnego cmentarza. Osiada na nich kurz przedmieścia i dym kominów fabrycznych. W opuszczeniu i martwocie stoją wśród chwastów pomniki nagrobne. One jednak mówią więcej o życiu niż o śmierci. Na płaskorzeźbach niewolnice podają paniom szkatułki z klejnotami, poważni obywatele oparci na lasce prowadzą rozmowę, stoją żołnierze z dzidą w ręce, panny ustrojone jak na wesele, widać stoły z kubkami na wino -- małe okienka otwarte na pogodny krajobraz świata. Ledwo kilka spojrzeń kamiennych oczu, kilka uścisków rąk, którymi by się chciało zatrzymać tych, co odchodzą -- pozwalają się domyślać, że miejsce to wyznaczono dla tych, co już nigdy nie wrócą. Całe przedmieście, zwane Kerameikos -- dzielnica garncarzy -- błyszczało niegdyś marmurami grobowców. Zostały nam tylko nieznanym, a przepadły takie, na których i dziś złożylibyśmy świeżą równiankę.

Pod koniec sierpnia, w 13 dniu miesiąca Boedromion, szła przed wiekami tą samą drogą, pod tymi pomnikami, uroczysta procesja. Z Eleuzis do Aten. Był to pierwszy dzień Wielkich Misteriów. Na przedzie jechał wóz zaprzęzony w parę wołów. Otaczały go kapłanki. Leżały na nim kosze z trzciny szczelnie zamknięte, przewiązane szkarłatnymi wstążkami. Ukrytych tam świętości nie mogły oglądać oczy profanów. Procesji towarzyszyli efebowie ateńscy na koniach, uwieńczeni mirtami. Za zbliżeniem się do miasta wysyłano herolda. Na jego wezwanie zbierali się urzędnicy miejscy z żonami i dziećmi i odprowadzali tajemniczy wóz do EleUsinion, małej świątynki pod Akropolem.

Nazajutrz zwoływano mystów, czyli wtajemniczonych, do Pstrego

portyku. Arcykapłan misteriów, hierofant, ogłaszał formułą wykluczenia: ludzie splamieni krwią, barbarzyńcy i ci, którzy wskutek przyrodzonej wady nie mogli powtórzyć modlitw i zaklęć z należytą wyrazistością i w odpowiednim rytmie, nie byli dopuszczani do misteriów. Trzeci dzień świąt zwał się: „halade mystaj” tifs „do morza, wtajemniczeni!” Albowiem odbywała się wtedy pospólna kąpiel w Faleronie. Słona woda, jak żadna inna, miała moc obmywania zmasa ducha. Zabijano przy tym na ofiarę prosięta i grzebano je w pewnym dole. Dopiero na drugi rok wybrane kobiety zgarniały resztki padliny, której nie zjadły święte węże, duchy ziemi, a spaliwszy je mieszały popioły z ziarnem przeznaczonym na zasiew.

Po dniach przygotowań, modlitw, oczyszczeń i postów, 19 Boedromion ruszała z Aten procesja do Eleuzis. Przewodniczył jej hierofant, z prastarego rodu Eumolpidów, którym sama Demeter powierzyła opiekę nad misteriami. W długim, szkarłatnym chitonie, z włosami upiętymi szerokim diademem, szedł jak król, mając przy sobie daduchosa – człowieka z pochodnią – kapłanów i służbę świątynną. Za nimi postępowali dostojnicy rzeczy pospolitej, brodaty, siwowłose areopag, członkowie wielkiej rady, tłum obywateli z rodzinami, w porządku gmin prowadzonych przez naczelników, poselstwa obcych miast w wieńcami na głowach, z zielonymi wiciami w ręku, we wzorzystej różnaitości strojów. Odprowadzali do Eleuzis wóz ze świętościami tą samą drogą, która i dziś nazywa się Święta.

Idąc ich śladem minąłem ogród botaniczny, osłonięty topolami, i wszedłem do lasku oliwnego. W tej szarej godzinie pod ciemnym listowiem było mroczno jak w zamkniętym kościele. Wiatr nie wiał, a niektóre listeczki drżały, uległe niewyczuwalnym kaprysom powietrza. Nad nikłą strugą wody pochylały się najsędziwsze drzewa. Próchno już je przeżarło, a życie, nawet dla drzewa zbyt ciężkie, poskręcało im uschłe gałęzie w węzłiska guzów i garbów.

Drzewo oliwne wyrosło za dni pierwszej wiosny świata, kiedy jeszcze bogowie, sami wilgotni od rosy narodzin, walczyli o panowanie nad ziemią. Z jego gładkich gałęzi wycięto pierwsze laski pasterzy i pierwsze berła królów. Związły, jędrny pień oliwny podtrzymywał łoże Odysusza i Penelopy, niby talizman ich niezwodnej wierności. Wielkie czasy przeminęły, odpłynęły w zapomnienie stare pieśni, które podnosiły się nad tłoczniami spienionymi zlocistą miazgą, same niebiosy uległy zniszczeniu, a drzewo, trwalsze od swej stworzycielki, nie opuściło macierzystej ziemi. Przysiadło u wszystkich pagórków attyckich, takie ciche, skromne, pokorne, że nie wynosząc się ponad krajobraz, tylko tu i ówdzie łagodzi swym brzaskiem suchość jego konturów. Gdziekolwiek znajdzie się większa lub mniejsza gromada siwych oliwek, pod miastem czy na pustym polu, to jakby została odrobina greckiego życia, niby źródło osłonięte mchem.

Przeszedłszy parę kilometrów, stanąłem pod kaplicą Sw. Sabasa. Słońce wschodziło. W cyprysie rozświetlało się gniazdo ptasie. W makach przydrożnych było coś więcej nad pierwszy oddech dnia – jakby zapowiedź samej bogini, która tu kiedyś zatrzymała się w swojej wędrówce. Była to jedna ze „stacyj” Demetry. Szukając po świecie córki zaszła do domu Fytalosa. Z wdzięczności za gościnę ofiarowała mu drzewo figowe. Pod tym drzewem, nad krynicą, procesja eleuzyjska odprawiała modlitwy. Dzisiaj drzewo figowe nie rośnie, źródło gdzieś znikło w piaskach, ale miejsce jest uświęcone kaplicą, jakby myśl ludzka nie mogła od niego odwyknąć.

Nieco dalej, gdzie teraz przesącza się w kanały odnoga Kefisosu, rozpiął się most, najpierw drewniany, później marmurowy, na którym odbywała się najdziwniejsza ceremonia. Zbliżającą się procesję eleuzyjską oczekiwała gromada ludzi, którzy z mostu rzucali w stronę pochodu żarty, drwiny, rubaszne sprośności. Nazywano to gefyryzmem, czyli mostową zabawą. Należała ona do rytuału, i być może tekst owych dowcipów był od wieków ustalony jak liturgia. Ale nierzadko reszta zebranych, znudzona nieczynnością, a poruszona wesołym zuchwalstwem kilku obrzędników, mieszała się do sprawy, dając folę rubasznemu temperamentowi, i wówczas przelatywał dowcip jak piłka ponad głowami tłumu, póki nie znikł w zamęcie nowych śpiewów religijnych. Tworzyło się mimowolnie dziwaczne święto śmiechu na drodze do najpoważniejszej świątyni greckiej, tym żywsze i łatwiejsze, że podsycala je obecność kogoś niewidzialnego, kto jednak był istotnym przewodnikiem procesji, kto trzymał cugle wszystkich koni i czyje imię było na wszystkich ustach. Ijakchos, niepojęte dla nas wcielenie jakby samego pochodu i jeszcze bardziej samego okrzyku: „o Bakche!” – hej, Bachusie! geniusz chwilowego współzycia wielkiej rzeszy ludzkiej, demon uniesienia wyrażającego się w pieśni, Ijakchos, roześmiane dziecko czy wesoły chłopak niesiony w posążku na ramionach efebów, prowadził mystów w pogodzie i radości po tej drodze bólu i męki.

Położyłem się na trawie pod sosnami. To miejsce nazywa się Dafni, czyli Wawrzyn. Był tu gaj laurowy, a w nim świątynia Apollona. Drzewa wycięto w obawie, żeby nie ukryły w sobie jakichś szczątków dawnych bogów, a na gruzach świątyni zbudowano klasztor i kościół. Pod powiekami widzę złoto jego mozaik. Majestat Chrystusa bizantyjskiego wypełnia kopułę. Ugiąłem kolano pod jego błogosławiącą dłoń.

Czymże więc jestem – spóźniony pielgrzym na świętej drodze? Jestem jak jeden z tych starych murów, na którym narosły wieki złomami kolumn antycznych, obwodem średniowiecznych cegieł, strzelistością wieżyczek gotyckich, otwarciem szerokich okien renesansu, barokowym wygięciem gzymsów, rokokową fantazją ornamentów. Jestem jak handlarz wszelkich świętości, obciążony bagażem wszystkich relikwii. Droga, która przecież jak każda naprzód prowadzi, idę

ogładając się za siebie i nie wiem, czy idę ku temu słońcu, co dopiero przed godziną wzeszło, czy w daleki mrok, na zawsze stracony dla dookolnego życia. Czuję znużenie nie z wysiłku nóg, które przemierzyły niewielką przestrzeń, ale z natężenia myśli, która odbudowuje nade mną stropy dawno spalone. Jaskółki szybujące niedoścignionym lotem, muchy wirujące w kołach współśrodkowych, żółte krople potu sosen zbiegające po szczelinach pni, całe wniebowzięte życie wiosny na tym małym skrawku trawy i kilku drzew stają się dla moich zbłąkanych oczu bardziej oddalone niż wizja rzeczy ubiegłych. Oczywiście, nie dadzą mi objawienia szaroniebieskie kamienie Eleuzis, mimo to idę dotknąć ich śmierci moją żywą dłonią. Albowiem idę szlakiem ludzi, którzy przeszli. Mogą się w nas wypalić wszystkie ciekawości, mogą nam do cna zobojętnieć wszystkie sprawy ziemi, ognia, wody i powietrza, ale nigdy nie stanie się nam obcy ten ktoś z nas samych -- człowiek -- który w jakimkolwiek czasie i w jakiegokolwiek stronie świata cierpiał, spodziewał się, błądł i ożywał.

Oto powstawszy do dalszej drogi widzę po brzegach skały worane koleiny starożytnych wozów. Jak długo kamień opierał się, uginał, póki nie przyjął w siebie tych zmarszczek codziennej pracy ludzkiej! Zachował je na koniec, utrwalił -- szczeliny płytkie i płynące jasną strugą słońca, a równocześnie ciemne i niezgłębione, bez końca i bez początku, niby przypadkiem odkryte ścieżki duchów i światów umarłych. Za każdym krokiem podnosi się echo wszystkich stóp, które się odcisnęły na tej drodze. Nagłym łukiem łączy się ów czas, co odszedł, z tym dniem, co biegnie, i oto nie morze widzę w tej chwili, nie modry przestwór, gdzie osiadł okruch szarej ziemi, lecz otwartymi ramionami witam Salaminę, bo na jej wodach rozstrzygnęły się kiedyś i c h i nasze losy. Od mogił Warny, Cecory i Chocimia, od kurhanów Dzikich Pól, od wszystkich okopów zachodu, kłaniam się promiennemu słońcu Temisto- klesa.

Już niedaleko. Droga idzie prawie brzegiem żółtej płaskoci, pod którą falują błękity morza. Omija dwa słone jeziora, jedno Matki, drugie Córki, święte jeziora bogiń eleuzyjskich. Przechodzi sucha i biała ponad bagnem zarosłym trzcina. Wypręża się wzdłuż winnic, które młodości wiosna okryła drobnymi, jasnozielonymi listkami. Rozerwane przęsła mostu trwają wśród pól, skąd rzeka uciekła, wciągnięta w głąb ziemi kanałami. Nad ruinami cerkwi bizantyjskiej kaplica Sw. Zachariasza dzwoni południowe pozdrowienie anielskie.

W rozwalonych murach cerkwi błyszczą tu i owdzie białe odłamy marmuru. Chrześcijaństwo budowało się z pokruszonych kolumn i pogruchotanych posągów. Między dwoma warstwami cegieł widzę wyraźnie ramię z częścią dłoni -- palce ugrzęzły zapewne w zaprawie mularskiej. W jednej z tych ścian znaleziono płaskorzeźbę przecednej roboty, która dziś jest chwałą muzeum ateńskiego. Stoją tam obok siebie trzy

postacie: Demeter, królewicz eleuzyjski Tryptolemos i Kore. Demeter ma berło w dłoni i podaje Tryptolemosowi garść kłosów. Kore po przeciwnej stronie młodzieńca opiera się na wysokiej pochodni, a prawicę wyciąga tak, jakby temu, co stoi w środku, wkładała wieniec na głowę. Wszystko dzieje się paru gestami w nieporuszonej skupieniu, w świętej ciszy. Dokoła tej trójcy zamknęło się na wieczne czasy milczenie wiosennych pól czekających na pierwszy zasiew. Za chwilę młody Tryptolemos, nagi jak łądyga pszenicy, wyjdzie spod błogosławieństwa dwóch bogiń, wzbije się na wozie skrzydlatym i zacznie rozsiewać tę wiązkę kłosów pomiędzy bruzdy świeżej ziemi. Po raz pierwszy dokona się tajemnica zaślubin ziarna z glebą. W utęsknieniu szumnej pieśni łąnów dziewicza ziemia leży w przygasłej ciszy rodnych żądz u stóp trzech władz boskich.

Wyobrażam sobie, że ten dziwny relief witał pielgrzymkę ateńską z jakiegoś podniosłego miejsca właśnie w chwili, gdy droga święta wchodziła w granice Eleuzis. Było tu gdzieś strupieszale, odwieczne domostwo Krokona -- pałac z prastarych czasów -- przy którym zatrzymywano się i mistowie przewiązywali prawe ramię i lewą goleń wstążkami barwy szafranu. Powolny pochód, przystający wśród modlitw i hymnów nad każdym świętym kamieniem, zdążył do Eleuzis dopiero pod wieczór. Zapalano pochodnie. W ich blasku odbywały się tańce przy Kallichoros, krynicy o jasnej wodzie.

Obok studni był kamień, który nazywano „agelastos petra” -- „skała smutku”. Albowiem spoczęła na nim Demeter. Było to w dziesiątym dniu jej bolesnej wędrówki. Znała już wtedy prawdę. Hekate, bogini nocnych przywidzeń, zaprowadziła ją do Słońca i tu odkryła się tajemnica porwania Kory. Bogini, znużona i głodna, nie myślała wracać na Olimp. Niosła swoje sieroctwo tam, gdzie jedynie mogła znaleźć współczujące serca -- między ludzi. Doszedłszy do Eleuzis, przysiadła na skraju drogi, pod drzewem oliwnym, przy Dziewiczej Krynicy. Była podobna do starej kobiety, której już nie zdoła słodkie dary Afrodyty i która już dzieci rodzić nie może. Cztery córki króla Keleosa przyszły ze spiżowymi dzbanami po wodę. Spozrzęły Demeter i nie poznały. Trudno śmiertelnym poznać bogów. Wydała im się odpowiednią na piastunkę dla ich małego brata, więc napelniwszy dzbany, pobiegły opowiedzieć matce o spotkaniu. Wróciły znowu, bo matka kazała sprowadzić nieznaną. Bogini siedziała nieruchoma u skraju drogi. Wzięły ją pod ręce i szła z nimi, otulona grubą zasłoną, a błękitna szata ciągnęła się za nią po ścieżce.

Ta wieczorna pielgrzymka, która z pochodniami stawała u studni, mogła być widzieć rąbek owego płaszcza, przesuwanego się po ziemi niby cień nadchodzącej nocy.

Była pierwsza po południu, gdy wszedłem w święty okrąg Eleuzis. Upał ciążył nad bezdrzewną równiną. Ominąłem pole ruin i przez

wzgórza zbiegłem ku morzu. Naprzeciw szarzały puste brzegi Salaminy. W doskonałej przejrzystości wody zieleniły się kamienie owinięte algami. Ciało gorące od znużenia i skwaru objęła chłodna rześkość fali.

W tych wodach kąpała się Fryne na oczach tłumu pielgrzymów. Było to w dzień Wielkich Misteriów. Całe Ateny przechodziły skrajem wybrzeża. Nagle z morza podniosła się naga kobieta. Stała niewątpliwie na jednym z tych kamieni rozrzuconych po płycznie i pomimo swych drobnych kształtów, niknących jeszcze bardziej przez obszar tła -- zwróciła uwagę wszystkich, jako zjawisko zupełnie niespodziane. Nie wiadomo, dlaczego to uczyniła. Czy z wyrachowania zuchwałej kurtyzany, czy raczej z właściwego Grekom popędu do tworzenia piękna jakimś jednym gestem, jakąś osobliwą chwilą życia, która później zostaje w pamięci, trwalsza od pomników. Tłum, pod nagłym wrażeniem znieruchomiał, nie miał czasu do namysłu: nikt nie wątpił, że dokonywa się nowe, radosne przypomnienie prastarego mitu o rodzącej się z pian morskich Afrodycie -- nikt nawet nie spostrzegł, że złotowłose Hory nie śpieszą na powitanie królowej. Chary ty nie czekają, aby owinąć w cienkie płótno to wiosenne ciało. Na pewno w późniejszych opowiadaniach nie brakło ani Erosów zlatujących na srebrzystych skrzydłach, ani trzepotu gołębi ciągnących tęczową konchę. Nie zachowało się ani jedno dzieło, w rzeźbie lub malowidle, oddające tę cudowną scenę -- a było ich, zdaje się, wiele -- nawet wiersz żaden nie podsuwa nam jej obrazu, tylko garstka zwiędłych ^ów u historyków wystarcza, żeby odtworzyć i samo zjawisko, i wzruszenie, jakie ono wywołało.

Po kąpieli zeszedłem do ruin.

Kształt, wiek i przeznaczenie każdego kamienia określili archeologowie z doskonałą ścisłością. Ich kunsztowne domysły pokazują, jak Eleuzis wzrastało i rozbudowywało się od czasów przedgreckich, przez stulecia Pizystrata, Kimona, Peryklesa, aż do republiki rzymskiej i cesarstwa. Każde pokolenie przynosiło nowe kolumny, podpierało stare ściany, rozszerzało i ozdabiało ten kult, najpierw ścieśniony w granicach kilku rodów, później obejmujący cały świat grecki. Widzimy plan i rozmieszczenie budynków, znamy ich wymiary i koleje, jakie przechodziły, zanim stały się dzisiejszym rumowiskiem. Czujemy pod ręką ciepło kamieni, jakby w nich żyła dusza. Ale żaden hierofant nie może już nas wtajemniczyć. Pozostaniemy na zawsze wykluczeni z misteriów.

Przez kilkanaście wieków cisnęły się tu nieprzeliczone tłumy -- od prostaków do najwyższych umysłów -- charaktery tak różnorodne, jak tylko różnorodna może być ludzkość na przestrzeni wielkiego czasu -- a wszyscy minęli nie zdradziwszy tajemnicy. Klechdy o tyranach budujących podziemne skarbcie opowiadają, że po dokonaniu dzieła skazywali robotników na śmierć. A mimo to sekrety królów ujawniały

się. Kapłani eleuzyjscy, ilekroć zachodziła potrzeba jakiejś naprawy w sanktuariach, wtajemniczali mularzy, aby mieć pewność ich milczenia. Moc, jaką nakładali na dusze przez ową inicjację, była silniejsza od śmierci. Nie zdarzył się nikt, kto by zerwał ze swych ust pieczęć milczenia. Nawet ci, którzy stali się chrześcijanami, nie odważyli się na jawne wyznanie. W całym wszechświecie nie ginie ani jeden atom, choćby najlichsza drobina życia, gdy tymczasem dzieło ludzkiego mózgu i serca, myśl, która nad tym kawałkiem ziemi unosiła się tak długo z uporem skrzydeł silnie rozpiętych -- uległa zagładzie.

Długi szereg uczonych -- i tych, co przeorali pole ruin, i tych, co wydobyli ze starożytnych tekstów wszystkie wiadomości o Eleuzis |p długi szereg pracowników, trzymających się ścisłym łańcuchem nieustannych poszukiwań, sklepił misterne a wątle wiązania domysłów, poprzecinane pustkami i mrokiem. Wiedza, którą zgromadzili, niewiele przewyższa tę, jaką może mieć o mózgu człowieka biedronka zaplątana w jego włosy.

Po nocy wypoczynku z 19 na 20 Boedromion mystowie odwiedzali miejsca uświęcone cierpieniem i obecnością Demetry. Za czym nazajutrz z nadejściem wieczoru odbywało się wtajemniczenie pierwszego stopnia. Rzecz działa się w telesterionie. Była to wielka sala, prawie kwadratowa. Z trzech stron miała wysokie podwoje. Sześć rzędów kolumn podtrzymywało pułap z drzewa, nad którym było piętro. Sala wyglądała jak teatr, z ośmiu stopniami siedzeń przy każdej ścianie i mogła pomieścić trzy tysiące widzów. Był to rzeczywiście teatr przeznaczony na dramaty bogów. Pierwszej nocy przedstawiano porwanie Persefony, wędrówkę Demetry i ponowne połączenie się matki z córką. Następnego wieczoru, jako drugi stopień wtajemniczenia, odtwarzano zaślubiny Dzeusa z Demetrą. Spełniał je hierofant z hierofantessą. Kapłan brał przedtem cykutę, która sprowadzała momentalną niemoc. To by wskazywało, że gesty dwojga obrzędników były tak oczywiste, iż mogły nasuwać pewne podejrzenia. Dramat kosmiczny -- albowiem mit podawał coroczne zjawisko zapładniania wiosennej ziemi przez niebo deszczami nabrzmiałe -- kończył się narodzinami dziecka. Może był nim Dionizos, a może objawiało się ono w postaci owego „kłosu zboża zżętego w milczeniu", co miało stanowić najwyższy akt misteriów -- uroczystość cicha i skupiona dokoła tajemnicy ziarna kielkującego z podziemnych ciemności.

W ruinach telesterionu nie odkryto śladów jakichś urządzeń teatralnych: przejść sekretnych, dołów do wydźwigania dekoracyj, bocznych, zakulisowych ścianek. Zatem nie były to istotne przedstawienia, lecz jakby liturgia, zbiór czynności rytualnych, w których i widzowie mogli brać udział, jak w każdym nabożeństwie -- modlitwą i śpiewem. Jedynym, zdaje się, zabiegiem inscenizacyjnym było światło. Zmieniało się co chwila. Przygasało, aby zostawić tłum w mroku oczekiwania, wy

tryskało nagle płomieniami pochodni, na koniec w sali zupełnie ciemnej otwierały się drzwi na wielką oślepiającą jasność, niby błogosławiony cel długiej wędrówki duszy zabłąkanej w podziemiach. W świetlistych drzwiach stawał hierofant i pokazywał wtajemniczonym owe świętości, które kilka dni temu obnosiła procesja w koszach zamkniętych. Mogły to być prastare wyobrażenia i symbole bóstw, których kształt niezwykle pochodził jeszcze z czasów, kiedy w Grecji nie było Greków. Służyły dawnym, zapomnianym mieszkańcom tej ziemi jako prosty obraz ich wierzeń, póki nie nappełniły się nową, bardziej czcigodną treścią w rękach ich następców.

Za czym mówił hierofant o sprawach zagrohowych. Dawał pouczenia, wskazówki, wypowiadał zaklęcia dziwne, niezrozumiałe, a przez to nieodparte -- duszom, które kiedyś miały wyjść z ciała, objaśniał drogę po królestwie śmierci. Zachowała się pewna ilość złotych tabliczek, które dawano wtajemniczonym do grobu. Na jednej z nich czytamy: „W domu Hadesa znajdziesz po lewej ręce źródło, a przy nim biały cyprys. Nie zbliżaj się do tego źródła. Znajdziesz bowiem inne, w którym płynie świeża woda z jeziora Pamięci. Przed nim stoją dozorcy. Powiesz im: «Jestem dzieckiem ziemi i gwiazdzistego nieba. Ród mój jest niebieski -- wiedźcie o tym. Pożera mnie pragnienie, od którego umieram. Dajcie mi natychmiast świeżej wody, co płynie z jeziora Pamięci.» I oni dadzą ci pić z boskiego źródła i odtąd panować będziesz wśród herosów."

Są to odwieczne skarby ufności i złudzeń ludzkich. Idą nieprzerwanie od tej chwili, gdy umarły przestał być padliną, a otrzymał na mieszkanie własny dom, w postaci zwyczajnego dołu zasypanego ziemią albo wielkiego dolmenu. Odtąd cała ludzkość łączyła się we wspólnym nabożeństwie śmierci i pomimo znacznych różnic zachowała kilka zasadniczych myśli, powtarzających się w takiej czy innej formie. W eleuzyjskim rumowisku znaleziono amulety i skarabeusze egipskie z bardzo odległych epok. Te milczące drobiazgi wytknęły drogę naszym domysłom ku sanktuariom nad Nilem, gdzie, w podobny sposób jak grecka Demeter, od wielu wieków cierpiała i wędrowała Izolda.

Demeter, bogini prostego, pracowitego ludu, której nie zna lub znać nie chce rycerski, wielkopański Homer, jawi się w misteriach jako wspaniała moc boża okrywająca złotą chwałą pola człowieczego znoju. Obok niej istniała w micie inna bogini ziemi, Gaja -- mgliste, prawie bezosobowe wcielenie samego żywiołu, nieogarnionej potęgi kosmo- gonicznej, bliska chaosu, ciemna siła twórcza, której łono, zapłodnione wszystkimi pierwiastkami, wydawało potwory wstrząsające harmonią kosmosu, huragany, co rozmiatają gwiazdy i mgławice. Demeter natomiast wyobrażała ziemi część najcenniejszą -- glebę. Ona żyła tylko troską człowieka i prowadziła go przez ład rolniczego bytu ku coraz wyższym drogom. Do niej należał mózół dnia powszedniego i niedzielne

świętowanie dożynek. I jakież inne znaleźć słowo, aby wyrazić to nieodmiennie czujne błogosławieństwo, nad słowo: matka?

Demeter była matką z imienia i z istoty. Aby ją w tym pojęciu bardziej zacieśnić, mit nie stawiał obok niej męża. Ten lub ów bóg, który w danej okolicy uchodził za jej chwilowego małżonka, nie miał żadnego wpływu na jej losy. Demeter była zawsze sama ze swoim dzieckiem, jak Hagar na puszczy. I było to prawdziwe dziecko, owoc jej trzewiów, jej miłość i szaleństwo. Chwile, które przeżywa po zniknięciu Persefony, dają obraz obłąkanego bóstwa. Z promiennej, złotowłosej bogini staje się żebraczką w łachmanach, wiedźmą z rozwianym siwym włosiem, wiejską wariatką, która za dnia nosi zapaloną pochodnię. Głucha i niepamiętna na wszystko, co nie ma związku z jej dzieckiem, zatracą w sobie świadomość boską. Na uczcie Tantalą ona jedna nie poznaje, że pieczeń przyrządzono z ciała zamordowanego Pelopsa. Rozpacz odbiera jej przyrodzone bogom jasnowidzenie.

Przedziwna zaduma grecka złożyła w tym micie nieoczekiwaną myśl o cierpieniu bóstwa. Domniemanie, że w pewnych wypadkach nieśmiertelność może być ciężarem nie do zniesienia, powstawało u Greków niejednokrotnie -- czy to w formie zabawnej w opowiadaniu o Titonosie, który otrzymał nieśmiertelność, a nie mógł otrzymać wiecznej młodości, czy w niesamowitej historii o Chejronie, który pod wpływem mąk fizycznych sam prosił o śmierć. Mogło się wydawać usprawiedliwieniem zła to, że bogowie na równi z człowiekiem przyjmowali je i podlegali mu w swoim własnym życiu. Zanim nad światem rozpięły się ramiona krzyża, już chodziła po nim mater dolorosa, i zanim anioł odwalił płytę Chrystusowego grobu, powrót Persefony, w wieńcu z maków, zwiastował zmartwychwstanie. Tak nie odkupiona jeszcze ziemia była pełna znaków, symbolów i zapowiedzi.

Nad Eleuzis płyną chmury. Obłoki nieśmiertelne, wilgotne dziewice rosy, otrząsają swoje lekkie przejrzyste zawoje i spada deszcz wiosenny. Cicho lecą małe kropelki i obmywają spotniały dzień. Kora drzew łśni. Liście, odświeżone, pachną. Niewysłowiona rozkosz napętnia powietrze. Idę przez pola z odkrytą głową. Nastaje wieczór i z chmur Wychodzi młody księżyc jak sierp, po który każdej chwili może się wyciągnąć dłoń boskiej Żniwiarki.

ZŁOTE MYKENY

Pociąg staje w szczerym polu. Na domku stacyjnym widać napis: Mykeny. Nikt prócz mnie nie wysiadł. Przez równinę dojrzewającego zboża szeroki gościniec prowadzi do wsi Charwati. Poza nią droga pnie się pod górę, wreszcie nagły zakręt odcina ją od pól i wciska między skały. W niektórych miejscach, spod chwastów i kamieni,

wygląda długa szachownica czworobocznych ciosów. Są to resztki mykeńskich fortyfikacji. Wiążąc się z żywą skałą, łącząc wzgórza i zasklepiając parowy, tworzyły warowne kolisko w okrag miasta i zamku.

Droga coraz bardziej się podnosi i po kilku skrętach wpada w dwa ramiona gładkich, stromych murów. Ogromne złomy układają się na sobie bez widocznych ścięgien cementu. W głębi monumentalnego podjazdu otwiera się brama uczyniona z trzech monolitów: dwa pionowe, niby słupy, podtrzymują poprzeczny tram potwornej wielkości. Ponad nim spiętrzona warstwa głazów rozstępuje się pośrodku trójkątną pustką, którą wypełnia cienka płyta kamienna. Twarde dłuto wyrzeźbiło na niej kolumnę z częścią belkowania, a u jej podstawy dwie lwice w śmigłym sprzężeniu muskularnych ciał wspinają się ku górze.

Pod tym godłem zapomnianej dynastii czy fetyszem nieznanego kultu Lwia Brama wychodzi jak okno na świat. „Widzisz stąd -- mówi mi Sofokles -- starożytne Argos, a tam święty gaj córki Inachosa, dalej rynek Apollona Lykijskiego, wilkobójcy, na lewo wznosi się świątynia Hery. Miasto zaś, gdzie jesteśmy, to w złoto obfite Mykeny, a ten pałac jest krwawą siedzibą Pelopidów.” O, słodkie jamby „Elek- try”! Prowadzicie moje oczy na łzami zamgloną drogę spojrzeń Ores- tesa i magią paru dźwięków stawiacie mnie o ramię przy smutnym królewiczu. Nad naszymi głowami bratnio ku sobie nachylonymi zawisa błogosławiący chłód dłoni naszej wspólnej siostry.

Jak okiem sięgnąć, aż po sinawy rąbek morza, rozwija się nie- wstrzymana przestrzeń argolidzkiej równiny. Szare gromadki kamieni znaczą wsie i miasteczka. Daleko, pod dwoma wyniosłościami, rozsypują się białe domy Argos, które jeszcze wczoraj widziałem wśród wiosennych łąk, ogrójców oliwnych i cyprysów. Na połogim wzgórzu trwa kamienny bezwład Tirynsu -- galerie z wielkich złomów rozpięte niby gotyckimi ostrołukami, fundamenty pałaców, rozprute groby i wy- żarte skarbcze. A dalej ku południowi Nauplia przegląda się w niezmaconym błękitcie zatoki, Nauplia, radosna słońcem, lekka i wolna jak okręt pod wydętymi żaglami.

Tak i przed wiekami żyzna i ciepła równina uległe spoczywała u stóp Myken. Ze strażnicy zamkowej widziało się dymy chat, złote w zachodnich zorzach, i jak nad przeoraną bruzdą pochyla się wzgardzona praca prostaków. Słychać było szum drzew otrząsanych po sadach i jak na podwórzach skrzypią kieraty. Z wysokości przedgrodzia można było dostrzec każdy wóz wyjeżdżający z zagrody na białą drogę. Z nizin nie podnosiły się ku zamkowi spojrzenia. Czuło się jego obecność, jak chłód śmierci, która stoi u progu. Gdy grafowie mykeńscy wyjeżdżali z wojownikami i świtą, zamykały się wszystkie drzwi i wsie zamierały. Nie słyszano tam nawet jęku niewolników ciągnących na powrozach głazy wydarte z gór. Dość było wiedzieć z szeptanej klechdy, że złe

siły układają z tych kamieni podziemne skarbcie i niebosiężne warownie, a cementem i gliną jest im krew i pot ludzi.

Dokoła zamku stoją rdzawe wzgórza o barwie zaschłych plam krwi. Spodem, między skały, wrzyna się suche łożysko potoku, białawoszare, zarzucone kamieniami jak rów cmentarny ludzkimi kośćmi. Nic nie przerywa ciężkiej, upalnej ciszy. Ani ptak, ani świerszcz, ani jaszczurka. Tylko gdzieś na samym dole wyrzywa się z uwięzi głazów źródło, jak nie pamiętająca o niczym szalona dziewczyna. Ale i ono przynosi ochotę jedynie wargom, które się ku niemu pochyla. Na krótką chwilę przed zachodem słońca, gdy nazbyt ostry szkarłat zórz rozplynie się w łagodniejsze różowe tony, czyni się trochę lżej i swobodniej. Za czym noc spada jak demon czarny, o sinawym odcieniu tych wielkich much, które siadają na gnijącym mięsie.

Ruiny Myken, poprzerzucane trzęsieniami ziemi, gospodarką żywołów i rydlem archeologów, leżą w nieładzie, w którym odróżnia się nekropolę królewską, pałac i miasto, nikłe jak garść kamieni ciśnień pod zamek. Pałac to tylko fundamenty ledwo odrosłe od ziemi drobnymi ułamkami ścian. Dopiero wiersze „Iliady” i „Odysei”, jak zaczarowana lutnia Amfiona, zbierają rozpięzchłe zarysy planu, wznoszą pokruszone mury, rozpinają sufity, stawiają słupy, po których ślad został w wydrążonych kamieniach, zamykają przemyślne zawory drzwi, których brązowe okucia wytarły śniedzią znaczone półkole na progu, rozjaśniają układ sal, korytarzy, krużganków. Były to dworzyszczka Homerowych bohaterów.

W głównej świetlicy, pod pułapem na czterech słupach, stało ognisko. Dym uchodził przez otwór w dachu. Okien nie było. Nawet w dzień zapalano pochodnie i smolne szczapy, utwierdzone w kandelabrach lub w spiżowych kunach. Podłoga z ubitej ziemi tylko skrajem miała płyty kamienne. Ściany wykładano deskami drogiego drzewa, misternie wiązаныmi, pełnymi ozdób z miedzi i złota. Rozwieszano na nich dywany, zbroje, głowy dzikich zwierząt. Ale poza tym jeszcze na wpół pierwotnym mieszkaniem mężczyzn są u Homera jakieś „wonne pokoje”, z których schodzi kobieta, aby z koszykiem haftów zasiąść przy wspólnym stole. Pod jej spojrzeniem łagodnieją słowa, gesty i obyczaje. W mykeńskich murach ledwo przeczuwamy jej obecność. Ślad schodów na zwalonej ścianie prowadzi nasz domysł w górne zakamarki haremowe.

Odkrycie Myken, w połowie zeszłego wieku, było nie tylko wywołaniem nieprzeczuwanego nawet echa poezji Homera, która dotąd wydawała się całkowicie fantastyczną, ale równocześnie jakby spełnieniem bajki o skarbach zakopanych w ziemi. Znalezione kilkanaście grobów, gdzie pod ciężkimi płytami leżały szkielety w złotych pektorałach, przy berłach i mieczach. Wokoło było mnóstwo kosztowności: srebrne głowy byków ze złożonymi rogami, złote kubki o wyrzyniętych

ornamentach, sztylety o rzeźbionych rękojeściach, pierścienie, kolczyki, małe diademy jak dla dzieci, motyle -- wszystko z czystego, nie mieszanego złota. Twarze umarłych przykrywały złote maski, których fałdy zachowały uśmiech śmierci sprzed kilku tysięcy lat. Ale co dziwniejsza, że nawet dół grobu był posypany złotym pyłem. Mogły to być oczywiście hafty lub naszyčia, które odpadły ze zbutwiałych płaszczów, lecz dla nie uprzedzonego wyglądały, jak ofiara z rozrzuconego złotego prochu.

Te wykopaliska dały wyborne ilustracje do Homera -- dwa grobowce, do gigantycznych ułów podobne, przeznaczono od razu dla Agamemnona i Klitajmnestry -- ale trzeba było grzebać dalej, aby doszukać się właściwej prawdy. Stało się to z początkiem naszego stulecia na Krecie. Spod kurhanów piasku wynikły rozległe budowle, niegdyś zapewne kilkopiętrowe. Ściany odsłoniły swoje freski, opowiadające o ludziach i czasach, które były legendą. Wyszły spod ziemi tysiące sprzętów, rzeźb, waz malowanych, biżuterii przedziwnego kunsztu. Pojawiły się symbole nowych bóstw. Wybłysły z mroku postacie kobiet, nie spotykane dotąd na całym obszarze antycznego świata --- postrojone w krynoliny, spódnice z falbankami, gorsety, kapelusiki jak ze starych żurnalów, trzewiki spiczaste. Było ich zaś wszędzie tak wiele, były tak promienne i samowładne, że odczuwało się, jak wszystko musiało powstawać w kręgu ich zachcianek i kaprysów.

Wyłonił się nowy świat, tak olśniewający i niespodziany, że niektórzy uczeni widzieli w nim zmartwychwstałą Atlantyde. I w rychłe przekonano się, że nie było to wykopalisko odosobnione. Pewne przedmioty, już dawniej znalezione w starych rumowiskach, w Mykenach, w Tyry-nsie, w Troi, a zupełnie niezrozumiałe przez swój wygląd i stempel jakiegoś nieznanego życia, nabrały teraz nowego znaczenia. Rozsypały się drobnymi światełkami po wszystkich wyspach i wybrzeżach Morza Egejskiego. Historia ziemi greckiej rozszerzyła się niesłychanie. Podziemne skarby ujawniły to, o czym nawet mit opowiadał bardzo nieśmiało: potęgę i wielkość dziejów przedgreckich.

Cywilizację egejską, idącą nieprzerwanie od trzeciego tysiąclecia przed naszą erą, stworzył lud niewiadomego pochodzenia. Swą mowę i myśl zawierał tajemniczy niezliczonych tabliczek glinianych, których pisma dotąd nie zdołano odczytać. Była to niewątpliwie rasa śródziemnomorska, piękna pomimo niewielkiego wzrostu, o ciele gibkim i zwinnym, którego lotność podnosiła osobliwa wąskość talii, o cerze smagłej, wyrazistych oczach i bujnych, czarnych włosach. Ci żeglarze założyli pierwszą w dziejach potęgę morską. Ich statki pojawiały się we wszystkich/portach Azji Mniejszej i Egiptu. Pełni radości twórczej, otoczyli się sztuką o cechach tak subtelnym, że czuje się poza nią zapach prawdziwie wytwornego życia.

Ale około r. 1500 przed naszą erą, kiedy Egea stała u szczytu, ruszyły

się z północy barbarzyńskie plemiona. Ci przodkowie Hellenów, Achajowie legendy, zmiażdżyli wykwintnych i słabych Egejczyków. Mieli ciężkie zbroje brązowe, wielkie tarcze i długie miecze. Na gruzach zburzonych pałaców wydzwignęli zamki feudalne. Złote maski, znalezione w grobach mykeńskich, dają wierny portret zdobywców. Widać długie, proste nosy, silne kości policzkowe, wąskie, zwarte usta, surowe rysy, których nawet uśmiech nie wygładza. Na ich szkieletach dostrzeżono ślady gwałtownej śmierci. Mówiono o nich, że zabijali własne dzieci i jedli ciała pomordowanych.

Nastął zmierzch prastarej cywilizacji egejskiej. Najazdy przerwały jej rozwój, lecz zawsze jeszcze ocalało z niej dość wiele, aby było czym ozdobić nowe życie. Dopiero w cztery wieki później nastąpiła noc zupełna. Z północy nadciągnęło żelazo, silniejsze od brązu. Nieśli je na końcach swych włóczni Dorowie. Zamki epoki mykeńskiej upadły. Niezgrabne ręce zdunów poczęły od nowa lepić proste garnki o niewymyślnych ornamentach. Rozbitkowie zniszczonej cywilizacji schronili się na wyspy, przyczaili się drobnymi osadami na wybrzeżu Azji Mniejszej. Ślady dawnego bytu rozproszyły się po świecie. Przez długi okres mogły jeszcze krążyć między ludźmi owe naczynia złote i srebrne, flakoniki, których ściany zachowały nieco wilgoci zapachów, a budząc zdumienie nasuwały myśl o jakimś ich związku z rozwalonymi zamkami, gdzie już legenda wiała sobie gniazdo.

Trudno określić, jaką Homer miał wiedzę o tych czasach. Wszystko jednak za tym przemawia, że była ona dość obszerna. Homer nie był ślepym wioskowym limikiem. Ma w sobie coś tak pańskiego i rycerskiego, że wyczuwa się pewien dystans pomiędzy nim a tymi aoidami, których ukazuje w swoich poematach. Można go sobie wyobrazić w zamożnym domostwie, miękkim od rozwieszonych tkanin, lub pod namiotem, gdzie jak Achilles śpiewa „chwałę mężów”. Wykopaliska w niezwykle sposób objaśniają jego epos. Jego fantazja nabiera nieoczekiwanych rumieńców życia. Archiwum królów hetyckich oddało nam niedawno, jako cząstkę rzeczywistej historii, imię tak legendarne jak Atreus, ojciec Agamemnona i Menelaosa. Jeśli Sparcie daje przydomek „szeroka”, Mykenom zaś „polychrysos” – „obfite w złoto” i jeśli te dwa przymiotniki okazują się nabrzmiałą prawdą, nie jest to chyba dziełem przypadku.

Gdy więc myślę o Homerze pośród tych rumowisk mykeńskich, które tak silnie przemawiają jego głosem, widzę go wprawdzie pod innym niebem, na jednej z wysp Archipelagu albo w jakimś mieście Azji Mniejszej, ale równocześnie słyszę echo jego stóp u podjazdu Lwiej Bramy. Był tutaj, jak był na polach trojańskich i na Itace. Nie tylko widywał, ale i odszukiwał po starych domach złote kubki, na których brzegu gołębie dziobią ziarno, berła książęce nabijane złotymi gwoździami, piękne tkaniny do wyścielania stołków, wszelkie dro

biazgi kosztowne, bo je szczególnie miłował, skoro ich tak pełno w jego wierszach. Dokładność, z jaką opisuje każdy sprzęt, choćby nim był zamek dworskiego lamusa, nasuwa wprost myśl o namiętności zbieracza. Lecz jeśli co gromadził lub pilnie badał, to archaiczną broń ze spiżu. Był to już dla niego przedmiot całkiem muzealny, bo sam żył w epoce żelaza. Atoli widok tych rzeczy pozwalał mu utrwalić swoją wizję w należytej perspektywie, odsunąć czasy bohaterskie w okres brązowy. Ten wielki człowiek wiązał świat helleński z zachodem prastarej podbitej rasy.

JASKINIA WĘŻA

W drodze do Delf opowiadano mi historię Kastri. Ta wieś leżała w świętym okręgu delfickim. Powstała zapewne, jak wiele podobnych osad, około szóstego wieku. Grecja była wówczas spustoszona i obumarła. Od roku 541, przez lat pięćdziesiąt, wielka zaraza, która przeszła przez całe państwo bizantyńskie, wyludniła Półwysep Bałkański niemal doszczętnie. Kilkakrotne trzęsienie ziemi rozsypało w gruzy resztki dawnych miast. Z północy nadciągnęli Słowianie. Byli to rolnicy, którzy budowali się w miejscach bardziej bezpiecznych, w głębi kraju, z dala od niespokojnych wybrzeży. Pierwsi mieszkańcy Kastri stawiali swoje chaty z marmurów świątyń delfickich, które już porastała trawa. W całym ówczesnym świecie grecko-rzymskim brakło metalów, nauczono się więc wyłamywać brązowe klamry i czopy spinające bębny kolumn.

Pod koniec XIX wieku archeologiczna misja francuska zajęła się odkopaniem Delf. Ale domy i pola Kastri udaremniały pracę. Nie można było inaczej, jak tylko wykupić całą wieś i przenieść ją w inne strony. Było tam wówczas do tysiąca dusz. Zbudowano o parę kilometrów dalej nową wieś, ładną i schludną, o polach równo wymierzonych i z własnym akweduktem. Chłopi delficy nic na zamianie nie tracili, mimo to zbuntowali się i słyszeć nie chcieli o porzuceniu starych siedzib. Zaczęły się nieskończone targi, przekonywania, wzywano do pomocy rząd ateński, policję. Wreszcie ustąpili.

Została tylko jedna stara kobieta. Według przypuszczeń pana Ho- molle, jej chata zakrywała adyton, „święte świątych* delfickiej wyroczni. Usunięcie tej chaty okazało się rzeczą najwyższej doniosłości. Lecz opór staruchy był nieprzeparty. Mówiła, że nie odejdzie, dopóki nie pozwoli na to duch wioski. Miał to być wąż schowany gdzieś pod fundamentami jej domu. Zył tam już wówczas, gdy ona była jeszcze dzieckiem. Jej matka i matka jej matki stawiały mu zawsze kubek mleka w dziurze pod paleniskiem. Misja francuska była przekonana, że chyba śmierć uwolni ją od tej kobiety. Tymczasem pewnego dnia

stara sama zawiązała swoje tobołki i odeszła do nowej osady. Mówiła, że ubiegłej nocy wąż opuścił kryjówkę.

O, węzł jak ciasno, jak wiernie oplotłeś się dokoła myśli ludzkiej! Byłeś w raju na drzewie wiadomości i w ogrodzie Hesperyd na złotej jabłoni. Wijesz się po ramionach tajemniczej bogini z Knossos i na prastarych godłach Chin. Wychylasz się ponad tarczę Ateny i spod białych stóp Niepokalanej Dziewicy. Przebiegasz drobną falą wśród hieroglifów egipskich i na greckich nagrobkach podnosisz się za plecami umarłych. Jesteś duchem czarnej ziemi i stróżem śmierci. Odkąd otwarło się pierwsze spojrzenie ludzkie, wypełzałeś z mroku zalegnionych dusz. Byłeś przy każdej tajemnicy i we wszystkich misteriach.

Snułeś się przy różdkach magów, na kaduceuszu Hermesa i na pastorałach biskupów. Alchemicy widzieli cię w gorącym popiele swoich pieców. Nie ma ludu, który by cię nie uczcił. Pijesz mleko w chacie litewskiego chłopca i w szałasie murzyńskim. Jesteś nieśmiertelny. Gniotły cię dłonie Jazona i św. Jerzego, Sigurda i Kraka, krzyżowały się nad tobą wszystkie miecze legendy. Jesteś synem ciemności i ojcem lęku. Pożerasz słońce i księżyc. A kiedy w małym pierścieniu zatoczysz koło, gryząc w pysku własny ogon -- wyobrazasz nieskończoność wszechrzeczy. Żyjesz w tysiącach nieodgadnionych symbolów, na ścianach wszystkich świątyń świata...

Na koniec rozwinęła się pode mną kotlina delficka, cała w lasach oliwnych i winnicach. Dwie proste, gładkie ściany Fedriadów płonęły jak czerwone reflektory. Za nimi piętrzył się Parnas, a spodem wąwóz „suchej rzeki”, Plejstosu, osuwał się głęboką przepaścią. Okrąg święty, schowany między fałdy gór, szarzał na wąskiej terasie. Ani jedna chmurka nie przyćmiewała żaru nieba. Tylko od szczytów Parnasu szedł lekki chłód, który orzeźwiał moje kroki na twardej, kamienistej, drodze i wśród poplątanych ruin delfickich. Z wprawą, której nabyłem przez te parę tygodni odcyfrowywania kamiennych palimpsestów, odnajdywałem gimnazjony, palestry, małe świątynki, długi rząd skarbców, w których różne państwa greckie składały swoje dary, wreszcie ślizgając się po wyszlifowanych przez wiatry płytach „drogi świętej” odnalazłem adyton. Było to zagłębienie dziwnie nieregularne, dość nisko pod powierzchnią samej świątyni, dotykające wprost żywej skały. Tutaj siedziała Pytia.

Pierwszy raz w życiu ujrzałem Pytię w teatrze, na kurtynie Siemiradzkiego, i bez namysłu oddałem jej swoje dwunastoletnie serce. Była niewymownie piękna. Jej białe, powiewne szaty szeleściły odtąd nad moimi snami, a jej okrągłe ramiona budziły pierwszy dreszcz uścisków. Była jak księżyc. Ilekroć nocą weszło przez okna srebrne światło, moje rozbudzone oczy widziały niepochwytny taniec lekkich jak myśl stóp. Marzyłem o Delfach i wyobrazałem je sobie nie o wiele inaczej od Klaudiusza Lorrain, który wymalował świątynię Apollona jako wspa

niały kolumnowy gmach o dwóch piętrach, nakryty kopułą, a położony w sennej okolicy nad morzem, skąd góry widać w sienie oddali. Moja Pytia mieszkała jak księżniczka w podobnym pałacu, a myśl o Delfach pachniała mi kadzidłem i miękką trawą pełną kwiatów.

Zdarzyło się później, że w jakimś albumie znalazłem kilka fotografii z Grecji, a między nimi był i krajobraz delficki. Surowe góry, rozciągnięte wzdłuż całego horyzontu, nie zapowiadały nic dobrego. Nie miałem zaufania do gór, wierzyłem tylko w wyspy. Po tym pierwszym rozczarowaniu nastąpiły inne i obraz cudnej Pytii rozwiął się, osierociwszy moje serce. Była to bowiem w rzeczywistości stara i nieokrzesana baba. Wybierano ją spośród niepiśmiennych chłopów okolicznych i w chwili kiedy szła na służbę wyroczni, musiała mieć ukończony pięćdziesiąty rok życia. Widzę oto, że miejsce, w którym siedziała, ma za podłogę równą, jednolitą skałę, bez owej tajemniczej szczeliny, skąd miały się wydobywać prorocze oddechy ziemi. Aby wywołać ekstazę, okadzano kapłankę palonym wawrzynem i jęczmieniem Zamknięta w odurzającym zaduchu, żuła liście bobkowe, jak czarownice murzyńskie betel. Wreszcie dostawała gwałtownych konwulsji, piana występowała jej na usta i w niesamowitych drgawkach objawiał się ów furor divinus, który opisał Lukan z takim mamotrawstwem pięknych hek- sametrów.

Ale i sama wyrocznia przemawiała wierszami. Na wszystkie pytania o wojnę i pokój, o urodzaj i kradzież bydła, o deszcz i pogodę, ambasadorom dalekich królów i okolicznym chłopom odpowiadano dostojną miarą epicką. Niejaki Lizaniasz zapytywał, czyje jest właściwie dziecko, które jego żona nosi w łonie -- i on również odszedł do domu z paru heksametrami, których niejasny sens powiększał jeszcze jego troskę. Wiersze te szkodziły dobrej sławie Apollona, patrona poetów. Gdy stało się to zbyt widoczne, Pytia zaczęła mówić prozą. Przez tysiąc lat prawie delfickie kolegium kapłanów, zwalniając się od ideałów moralnych, które głosił ich bóg, wodziło za nos całą Grecję. Było to gniazdo fałszu i zdrady.

Obszedłszy do najdrobniejszych zakamarków ruiny usiadłem w półkolu marmurowej eksedry na placu, który nazywał się: halos. Słońce schodziło już na szczyty Parnasu. Rozpalone skały dymiły spopielalym powietrzem. W otaczających górach była groza i surowość jakichś bardzo odległych czasów. Wszystkie te gmachy, które właśnie odbudowałem przed sobą, oddając im całą utraconą wspaniałość, wydały mi się słabym i kruchym nalotem, czymś późnym, małym i nieistotnym, co dziwnie się zgadzało z tą skalistą otchłanią. Wówczas, jakby w zwierciadle magicznym błyszczących Fedriadów, objawiły się nienależące do tego świata.

W owym dalekim brzasku, kiedy może jeszcze ani jedno słowo greckie nie wyluskało się z jądra praindoeuropejskiej mowy, wśród gór

delfickich żył nieznanymi ludźmi, po którym ziemia zachowała garść popiołów z jego ognisk, trochę niekształtnych czerepów i kilka narzędzi z ogładzonego obsydianu. Przy źródle kastalskim stały jego lepianki z gałązek utwardzonych gliną. Bogiem tych ludzi, tatuowanych w białe i czerwone pasy, był wąż. Mieszkał w jaskini i objawy jego gniewu widziano w gorących źródłach, które nagle wytryskały z ziemi, i w odurzających oparach, które podnosiły się z rozwartych szczelin. Ludzie czuli wówczas naprawdę, dniem i nocą, obecność swego boga.

Kiedy po wiekach nadciągnęły z północy plemiona greckie, zawojowanie bezbronnych dzikusów nie nastęczało im zapewne wielkich trudności. Natomiast ich bogowie nie tak łatwo pokonali starego smoka. Była to właściwie wężycyca --- drakaina -- i mit grecki podawał ją za dziecko samej ziemi, Gai, która ją urodziła, zapłodniona wodami potopu. Nazywano smoka: Pytho, a i o Delfach mówiono, że dawniej tak samo się nazywały. Walczył z nim Apollon i przeszył go strzałą. Wprawdzie pokazywano odtąd jego grób, na którym stał obły kamień -- omfalos -- ale mogło to nie oznaczać właściwej śmierci, skoro i Dionizos miał w świątyni delfickiej swój sarkofag. Istniał również jakiś korytarz podziemny, który mimo wszystko, co się o tym mówiło, wyglądał tak, jakby wciąż jeszcze służył wężowi do jego świętych wędrówek.

Na miejscu zaś, w którym usiadłem, w obrębie owego halos, odbywały się co dziewięć lat pytyjskie misteria, tajemnicze święto Septerionów. W pośrodku placu budowano domek z drzewa, pośpiesznym wiązaniem przypominający pierwotne szałas. Miał niewielkie drzwi, ale ani jednego okna. Wewnątrz ustawiano stół i łożo biesiadne. Na stole był gliniany kubek z mlekiem, trochę miodu w czerepku i parę ciastek. Nie mówiło się przy tym nic, jakby wszyscy wiedzieli, dla kogo to przeznaczone. Po tych przygotowaniach następowała uroczysta procesja. Wychodziła, zdaje się, spoza świętego okręgu i szła z zapalonymi pochodniami, w głębokim milczeniu. Wiódł ją chłopiec należący do jednej ze starych rodzin delfickich, chłopiec z jeszcze nie obciętych włosami, którego rodzice żyli. Orszak, za zbliżeniem się do chaty, podnosił wielki wrzask. Wszyscy nagle rzucali się ku drzwiom, wyłamywali je, a wbiegłszy do wnętrza, przewracali stół i łożo, tłukli naczynia i -- zostawiwszy płonące pochodnie -- uciekali. Ogień obejmował dom, a podpalacze chronili się daleko poza granice Delf i wracali dopiero po wielu oczyszczeniach, jakby istotnie spełnili zbrodnię. To wszystko odbywało się na oczach jakichś widzów, zapewne wtajemniczonych, i nie podobna odgadnąć, co się w ich kole przy tym mówiło i jak sobie tę scenę objaśniano. Ponad głowami szedł jednak poszum grozy i nikt nie miał ochoty dochodzić, co właściwie mogło się wydarzyć w płonącym szałasie.

Dla nas jest rzeczą niewątpliwą, że w ten osobliwy sposób dokonywało się co dziewięć lat zabójstwo Pythona. Stary smok na ten czas odżywał wraz z całym swym pierwotnym otoczeniem. Strzała Apollona nie zadała mu śmiertelnej rany. Miał w sobie o wiele więcej mocy niżli jego zwycięzca. Białe ciało olimpijskiego boga znacznie wcześniej podległo śmierci. Nawet gruzy świątyni delfickiej nie przywały odwiecznego węża. Został na swoim miejscu i stara kobieta z Kastri widziała go jeszcze pod podłogą swej chaty.

Z ATEN DO OLIMPII

Wszystko jest jeszcze drżące z niewyspania. Wagony trzęsą się, deski podłogi dygocą nad turkotem kół. Leniwie wloką się zamiejskie stacje. Pejzaż wysuwa się małymi skrawkami.

Dookoła sucho i pusto. Jedynie w błękitnym spojrzeniu Zatoki Eleuzyjskiej jest trochę wilgoci. Twardo ścielą się bladożółte płaszczyzny. Rozpierzchłe wicherki winnic, wąskie plasterki jęczmienia, niekiedy drzewo jak nagły wykrzyknik. Oczy mrużą się przed wielkim słońcem. Zdaje mi się, że widzę, jak brzegiem pól idzie „deszczowa dziewczyna” -- sierotka wybrana spośród dzieci wiejskich, owinięta w chochoł słomiany, ustrojona kwiatami, z gałązką bukszpanu w ręce, i śpiewa modlitwę o deszcz.

Megara. Z okna wagonu widać miasto na dwóch połogich wzgórzach. Białe, kwadratowe domki, terasy ze sznurami bielizny, uliczki ciasne, nierówne, zawile. Dwie kobiety schodzą po wodę. Niosą na ramionach takie same hydrie, jakie archeologowie znajdują w ruinach. Może gdzieś jeszcze bije stare „źródło Nimf”, w pobliżu grobów Alkmeny, Ifigenii i Tereusa, króla, który był dudkiem. Swięcą mi po głowie „Ptaki” Arystofanesa.

Za Megarą znów sucho i pusto. W takim ugorze Kadmos wyorał brzdę i posiał w niej zęby smocze, jak się sieje żyto lub pszenicę. Z ziemi greckiej bajki wyrastały zawsze łatwiej niż zboże.

Na złotawych równinach i szarych pagórkach wygrzewa się upał. Ludzie płaczą się jak senni. Baranki pokładają się pod krzakami. Osioł rzuca cień na śpiącego pastucha. Nagle przecinają widok żelazne zębrowania mostu. Pociąg przejeżdża nad Kanałem Korynckim. Dwie żółte, prostopadłe ściany o ruchliwej, podłodze z błękitu. Wolno płynący okręt płoszy ptaki, które obijają się o strome skały. W tym wąskim korycie Morze Jońskie zlewa się z Egejskim. W niezmaconej pogodzie mieszają się fale wschodu i zachodu.

Ponad zgiełk korynckiego dworca wybiegam pamięcią ku miastu, którego zbyt szerokie ulice kładą się w posłusznym milczeniu pod wartkie stopy wiatru i ociężały krok południowego słońca. Czuję jeszcze

smolny zapach łodzi rybackich na pustym wybrzeżu. Widzę granitową skałę Akrokoryntu, wyciętą pod szczytem w drobne ząbki rozsypujących się warowni. Pomiędzy zapomnianą przeszłością a nieznaną przyszłością, jak w zgęszczone z dwóch stron chmury, wbija się samotna góra, niby dziób okrętu. Pod tym strzaskanym masztem w pewien poranek Juliusz Słowacki śnił sielankę pełną owiec, jaskółek, pszczół i wina.

Od Koryntu droga nie opuszcza morza. Wąski korytarz wodny oddziela Grecję środkową od Peloponezu. W przejrzystym powietrzu widać dokładnie ląd przeciwległy. Śnieżne wierchy Parnasu i Helikonu przeciągają pod horyzontem białym, poważnym chórem. Po drugiej stronie toru wyniosłości co chwila opadają w nizinę, a w jednym miejscu otwiera się głęboka perspektywa na arkadyjską Kyllene, zjeżoną borem sosnowym.

Przed Ksilokastro coś się w maszynie zepsuło i czekaliśmy prawie godzinę. Wyszedłem z przedziału. Dookoła były jeno skały, a pod nimi morze. Słońce oświecało je tak, że nabierało jakby większej płynności i lekkości w swych drobnych falach. Szedł rzeński zapach dnia wiosennego tak czysty, jakby się oddychało samym widnokregiem. Cicho jak motyl nadleciał wiatr. Fale zmarszczyły się, zaszumiały i podpłynęły do brzegu długim, pianistym zakolem. Za czym nastąpiła cisza jeszcze głębsza, pełna niewysłowionej dobroci i tkliwości. We wzruszonej pamięci podniosły się wszystkie najradośniejsze sprawy: wieczór zapadający nad świeżo skoszoną łąką, uroczysty pogwar lasu, lśniące drzenie brzoź po wiosennym deszczu. Dusza otwarła się ku światłu jak pole. W jasnej przestrzeni nieba i wody myśli rozplywały się na podobieństwo różowych mgieł poranku, które rozpraszają się w powietrzu, zanim dotkną ziemi.

Mijają stacje o nazwach wspaniałych. Chwieją się nad nimi jak sztandary wspomnienia historyczne, wiersze poetów, zadumy wieków. A tam niżej małymi ścieżkami współczesne życie pcha na platformy kolei i na pokłady statków paki rodzynków, beczki oliwy, kosze pomarańcz.

Okrutne góry srożą się od południa. Mavron-Oros o stokach porzniętych w głębokie bruzdy. Są to wygasłe potoki zimowe. W dole, pod pleśnią mchów, leżą powalone drzewa. Jakże leciały ze szczytów z trzaskiem łamiących się koron, pod naporem wezbranych strumieni i północnego wiatru! A na urwisku stoi gromada uschniętych sosen. Nie mają ani igieł, ani kory. Nagie, olbrzymie szkielety szerniały od słońca, deszczów i wichrów.

Ten koszmar żywych trupów ściera mi z oczu niebieską chustą zatoka Patrasu. Nad cudną wodą siedzi najbrudniejsze miasto w Grecji. Dworzec wygląda jak wielki kram, wśród mniejszych kramów i magazynów, wzdłuż ulicy będącej równocześnie wybrzeżem. Odrapane, trędotawe

domy cisną się ku morzu. Otwierają się czeluście zaułków z górnych części miasta.

W rozkoszy nowego krajobrazu Patras tonie jak kamień strącony w przepaść. Pociąg zatrzymuje się nieomal na każdym kilometrze. Stacyjki obrosnięte bluszczem i kwiatami, jak wiejskie domki. Rząd drzew pieprzowych lub platanów oddziela je od toru. W głębi widać małe podwórka ze studnią pośrodku.

Do wagonu wchodzi dwaj starzy chłopci, ogorzali, brodaci, poważni. Mają stroje narodowe, to znaczy albańskie. A więc najpierw: trzy koszule z grubego płótna. Liczę je po rękawach nierównej długości, odstających przy napiętku. Ostatnia wyłożona na wierzch jak spódniczka, szersza ku dołowi, w pasie zebrana w fałdy. Ciemna kamizelka, bez rękawów, na przodzie wyszywana. Prawie obcisłe spodnie, wpuszczone w grube, ciepłe owijacze, które szczelnie ujmują nogę aż ponad kolano. Na stopach łapcie, miękkie, filcowe, z nosami do góry zakrzywionymi. Na głowach okrągłe, półsztywne mycki. Szeroki pas skórzany, który spina biodra, służył dawniej do chowania nożów i pistoletów. Dziś zawiera kilka skrytek na tytoń, fajkę, zapalki, pieniądze. Jeden z chłopów wyciąga z pasa małą, zieloną chusteczkę do nosa. Pomimo gorąca obaj otulają się w płaszcze z koźlej sierści. Jest w nich coś słowiańskiego. Wsiada pop grecki. Brodaty, długowłose, w czarnych, obszernych szatach, w wysokiej czapce maga. Wnosi kobiałkę, worek i kosz. Za nim dźwiga się na stopień wagonu tłusta, czerwona popadła.

Akwarelowe stacyjki odmierzają przestrzeń zajęta pod winnice. Pracują w nich kobiety w jaskrawych spódnicach i mężczyźni jak grzyby pod szerokimi kapeluszami. Podcinają gałązki. Winna latorośl sięga im do ramion. Porozsadzana w grządki, wygląda z bliska jak sad karłowatych drzewek, a z oddali i z wysoka jak łąn ziemniaków. Czuć żyzną wilgoć rzeki Penejosu. Wesole ścieżki wiją się między zielenią, widać ciemne dąbrowy, na wzgórzach białe przyzmy klasztorów, miasteczka z nie wypalonych cegieł, wśród cytryn, morw i oliwek.

Prawdziwie radosna droga. Każdy drobiazg wita się z zachwytem. Drzewo, kamień, motyl, ptak przelatujący w chwale prześwietlonego powietrza -- rodzi wspomnienia mitycznych przemian i dźwięcznych wierszy, które o tym opowiadają. Strumień zbiegający po kamykach jak roześmiane dziecko, ciemna szczelina w skale nasuwająca myśl o grocie nimf, dzbanek na brzegu studni, zda się jeszcze ciepły od rąk dziewczyny, która się gdzieś ukryła, mały lasek wśród gór, rąbek łąki niby wpółrozwarłe marzenie o wypoczynku -- to wszystko stwarza natychmiastowe, bezpośrednie zadowolenie, a jednocześnie się i zbierając, zamienia się po prostu w szczęście.

Dojechaliśmy do Pyrgos po wielkim pożarze zachodu. Słońce wpadło do Morza Jońskiego. Po niebie kładły się fioletowe cienie. Noc ścieliła sobie gniazdo w górach.

Z wąwozów skalistych, z zawojów mgieł podnoszących się z doliny Kladeosu, cicho i nieprzeczuwanie jak westchnienie objawił się kres drogi: Olimpia -- na białym murze czarny napis pod dwiema żółtymi lampkami.

K ALIMERA

Noc była. Z pociągu wysiadło kilka osób, które jakby rozwiały się w cieniu domów. Zostałem sam na szerokiej drodze mieniącej się w poświacie księżyca. Na niedalekim wzgórku paliły się żółte okna. Gdy stanąłem pod nimi, jedno z nich otwarło się i zawołało: |. -- Wejście do hotelu przez schody i terasę, na lewo!

W chwilę później miałem już własne okno i mogłem je otworzyć na tę noc olimpijską.

Było jasno jak w dzień -- osobliwy dzień księżycowy. Księżyc oświetlał szafir wysokiego nieba, przenikał go białością, w której drgał pył zielonawy. Spływały w kotlinę srebrne mgły i znów podnosiły się z ziemi przezroczystym obłokiem. Trawy błękitniały. Porosłe drzewami wzgórze Kronosa rzucało cień ogromny. Znad rzeki szedł chłód wilgotny. Powietrze było nasiąknięte rosą. Moje spojrzenia pomieszały się z oczyma gwiazd. Jakbym te drzewa, wzgórza, doliny witał już kiedyś zachwytem rozpoczynających się wakacji! Moja pierwsza noc w Olimpii miała zapach wszystkich dobrych nocy wiejskich. Była spokojna i chłodna jak polska noc. Oczekiwałem, kiedy się derkacz ozwie z ciemności.

Rano budzi mnie złoty błam słońca na podłodze. Mała dziewczynka przechodzi pod oknem. W koszyku niesie świeże sery.

-- Kalimera sul

-- Piękny dzień i tobie, dziewczynko. Skąd jesteś?

-- Ze wsi Druwa, na wzgórzu -- pokazuje palcem gdzie ponad dach hotelu.

Daje mi wiązankę mięty i odchodzi. I znów spotykamy się na drodze. Sery sprzedawała w naszej kuchni i wraca z pustym koszykiem. Prowadzi mnie na górę drożyną kamienistą jak łożysko potoku. Spod zielonych głązów bije źródło. Stajemy pod chatą z gliny i gałązek. Do lepianki przyczepiła się malutka obora i trzęsące się schody, które kończą się na pięterku przed drzwiami niskimi jak okno. Dziewczynka woła:

-- Mamo!

Wychodzi młoda kobieta i z glinianego dzbanka nalewa mi koziego mleka do drewnianego kubka.

Spod starego orzecha na szczycie widzę całą równinę olimpijską. Błyszcą na niej dwa migotliwe pasy: szeroki -- Alfejosu i wąziutki -- Kladeosu. W klinie między rzekami, pod wzgórzem Kronosa, szarzeje

pole ruin. Słońce, równiny rozciągnięte, pagórki tak łagodne, jakby je wygładziła dłoń dziecka, stukanie dzięcioła w lesie, daleki głos oracza na jakimś ukrytym polu rodzą uczucie bezmiernego spokoju. Wszystko takie proste, jakby w nim nie było nic prócz ciszy mojego własnego serca.

Obok, wciąż z tym samym koszykiem na ramieniu, stoi moja mała przewodniczka. Siedzi każdy mój ruch i każdą zmianę na twarzy. Jestem dla niej istotą dziwną, niespodzianą, która na progu swych spojrzeń ma jeszcze ślad krajobrazów, jakich ona nigdy nie zobaczy. Gdy wyjętam wzrok, aby pochwycić znaczenie sinawej pręgi na zachodzie, podnosi się na palcach i mówi szeptem:

-- Morze.

Uśmiecha się widząc w moich oczach szczęście. Pochylam się i całuję ciemne włosy nad czołem. Już jestem na drodze, u źródła, a ona jeszcze woła za mną:

-- Piękny dzień I

Należy mi się tu dzisiaj jeszcze jeden uśmiech. Nim go zobaczę oczyma, już się odsłania w pamięci -- biały uśmiech marmuru.

Hermes Praksytelesa stoi w osobnej szopie obok muzeum. Jest zawsze sam z dzieciątkiem Dionizosem na ręku, w ciemności, gdy noc, a za dnia w półmroku zasuniętych firanek. Woźny otwiera drzwi i za każdym wychodzącym starannie na klucz zamyka. Szybkiemu synowi Mai brak obydwu nóg. Do niedawna miał protezy sporządzone przez niemieckiego rzeźbiarza Schapera. Teraz tkwi po kolana w gipsie. Odłamana prawa dłoń trzymała, zdaje się, kiść winogron. Usta uśmiechają się, nie wiedzieć komu. Odwrócone od dziecka, zapatrzone kędyś oczy odprowadzają uśmiech rozchylonych warg na niewiadome drogi.

Takim go znaleziono pod zwaliskami świątyni Hery. Leżał pizy swoim piedestale, w tym samym miejscu, gdzie go widział i zanotował Pauza- niasz pod jesień starożytnego świata. Mówi o nim niewiele. Dla ludzi, którzy mogli jeszcze oglądać nienaruszone dziedzictwo sztuki greckiej, Hermes Praksytelesa był tylko cyfrą w ogromnym katalogu. Dla nas zaś jest bezcenną relikwią. Oryginał, pewny i poświadczony, nie przegrodzony żadnym podejrzeniem, daje nam rzadką rozkosz dotknięcia posągu, po którym istotnie ślizgało się dłuto mistrza.

Nie ma nic boskiego ani w samej postaci, ani w jej zajęciu. Z roztargnieniem, właściwym swoim dwudziestu latom, zabawia małego braciszka. W bok odchylone spojrzenie wybiega ku towarzyszom zebranych na boisku. Uśmiecha się do nich przez smutek rąk trzymających dziecko, które by wołały pochwycić dysk lub oszczep. Jest to po prostu nagi młodzieniec. Platon powiedziałby o nim, jak o Charmidesie: „Jest tak piękny, że gdy się rozbierze, zapomina się, iż ma twarz.” Jeśli takim wyobrażano sobie boga gimnastyki, to nieraz mogło się zdawać, że go się dostrzeżę w tłumie błyszczących ciał. Zapewne ktoś z takich, co się

otarli o żywego boga, wykrzyknął te uniesione słowa: „Niebem się świadcę, że wolę mieć piękne ciało niż królewską koronę.”

Prześlizny marmur paryjski jest gładki i połyskliwy jak alabaster. Tylko na sandałach, na wargach i we włosach widać rdzawe plamy. Są to niewątpliwie ślady polichromii. Hermes był malowany i wyzłocony. Usta miał zapewne karminowe, obuwie złociste jak u Homera, płaszczyk na lewym ramieniu szkarłatny. II, w którym posąg leżał przez kilkanaście wieków, wyssał te barwy. Z dna rzek, z wilgoci lochów, z żeru piasków wyszła do nas cała rzeźba grecka nieskazitelnie biała. Odłupały się emalie źrenic i odtąd statuy patrzyły pustymi oczodołami. Odpadły z rąk atrybuty z pozlacanego brązu i błyszczące diademy ze skroni. Ta śnieżysta nagość ukształtowała nasz smak estetyczny. Z niepokojem odsuwamy myśl, że mogłyby nagle stanąć przed nami umiłowane postacie w całej ozdobie farb, pozłoty i kosztownych ornamentów. Nie należy nigdy znać zbyt dobrze istot i rzeczy, które się kocha.

Nie należy również wchodzić do muzeum z oczyma zmaconymi jasnością żywych pól i wiosennego słońca. Jeszcze mi nad głowę szumiał stary orzech, spod którego patrzyłem na równinę Elidy, kiedy stanąłem w sali rzeźb. Są tu obydwie frontony i kilkanaście metop ze świątyni Dzeusa. Jedna seria figur przedstawia walkę Lapitów z Centaurami. Podczas uczty weselnej pijane półkonie rzuciły się na kobiety. Mężczyźni porwali za broń przeciw monstom. Wszczął się tumult. Porywane kobiety targały za włosy napastników, kopyta Centaurów deptały powalonych rycerzy. To wszystko, co stara sztuka umiała objawić z właściwą sobie powściągliwością, zmieniło się dzisiaj w straszliwy zgielek odartych członków, rozprutych brzuchów, głów odciętych od tułowia. Kobieta, której zamiarem było tylko podrapać zuchwalca, trzyma w ręce całe jego ramię, jakby odrąbane toporem. Gdzie indziej głowa Centaura przyrosła do pleców dziewczyny i razem tworzą szkaradną poczwagę, której resztę ciała stanowi w części tułów kobiecy ubrany w peplos, a w części poszarpany w strzępy kadłub koński.

Na drugim frontonie odbywały się przygotowania do wyścigów, a na metopach Herakles dokonywał swych dwunastu prac bohaterskich. I w nich taka sama trwa męka niezagojonego kalectwa. Postacie piękne lub poważne, jeśli się nawet zachowały, siedzą z wyciągniętymi kikutami rąk i nóg, jak żebracy przy drodze. Głowy, zwieszane nad wielką próżnią własnego ciała, patrzą na stopy, które pozostały na ziemi. Z pochylenia jakiegoś kształtu, zdrowego i silnego, uratowało się tylko zgięte 'kolano i parę włókien marmuru jak podarte ścięgna. Herkules na próżno stara się pochwycić za rogi byka, który w zdumieniu spogląda na jego wytrzebione wnętrzości. Chcąc pokazać Atenie złowione ptaki stymfalijskie, bohater staje przed nią z pustymi rękoma. Ani w jednej przygodzie nie ma swojej maczugi, która mu służyła przez całe życie, i nie może jej odnaleźć w powietrzu złamanymi palcami.

Szermierze wyrzucający ramiona pozbawione pięści, wojownicy szukający mieczów, których im nikt nie poda, bogowie ograbieni z atrybutów swej nieśmiertelnej służby, dziewice z wydartymi piersiami, twarze odwrócone z natężeniem ciekawości, której nie zaspokoją wy- żarte oczy, ciała poćwiartowane, te wszystkie postacie chrome, ośleple, bezgłowe, cały ten obraz mąk nieludzkich potęguje jeszcze ich spokój nienaruszony. Nie poddają się cierpieniu, które jest tak widoczne, nie odpierają go ani krzykiem, ani rezygnacją, lecz w doskonałej czystości profilów, o ile jeszcze je posiadają, pełnią w dalszym ciągu to, co wyrażało ich namiętność, ich życie -- w chwili gdy je obezwładniono.

Kiedy spod złamanych skrzydeł Nike Pajoniosa ostatni raz spojrzełem na to nieoczekiwane widowisko, wyjawiał mi się nagle obraz powstawania świata taki, jakim go widział Empedokles. Wschodziły ze świeżej ziemi głowy nie przyprawione do żadnego tułowia, ramiona nieświadome barków, oczy tęskniące za twarzą. Wszystko to, rozproszone i błędne, wałęsało się dokoła samotnego wybrzeża życia.

Przeszedłem przez roztrzęsiony mostek nad Kladeosem i stanąłem przed ogrodzeniem. Nie było ani wysokich sztachet żelaznych, ani ciężkich drzwi, ani owej budki, gdzie zwykle przy ruinach sprzedają bilety. Nikt nie bronił wejścia. Mała furtka na wywichniętych zawiasach lekko odchyliła się pod ręką. Puszczona, chwiała się i skrzypiała. Jak w „Panu Tadeuszu”: „jeszcze kołyszą się drzwiczki, świeżo trącone...”

Wszedłem jak do ogrodu. Trawa, na niej moc rozrzuconych kamieni, a nad nimi drzewa. Na wzgórku trochę krzaków. Było bardzo gorąco. Zdjąłem marynarkę i położyłem się na ziemi.

Rumianek pachnie -- ostatnie kadzidło wszystkich powalonych ołtarzy greckich. I sosna -- starożytna peuke, karłowata sosenka morska, która okrywa całe wzgórze Kronosa i wypełnia pustkowie swą mocną, ciepłą wonią. Nie ma ptaków. Są tylko świerszcze. „Powiadają, że one były kiedyś ludźmi, kiedy jeszcze muz nie było. A kiedy przyszły muzy i zjawił się śpiew po raz pierwszy, taki zachwyty szalony ogarnął niektórych ludzi ówczesnych, że dla śpiewu zaniebdywali jadła i napoju. Śpiewali tylko i marli, nie zdając sobie z tego sprawy. Od nich pochodzi ród piewików, które od muz ten dar otrzymały, że umieją się obyć bez jedzenia. Już od urodzenia nie potrzebują jadła ani napoju, tylko śpiewają wciąż, aż do śmierci, a potem idą do muz i opowiadają każdej, kto je czcił tutaj na ziemi.” *

Cóż można wiedzieć o życiu tego kraju, skoro mądry Sokrates opowiada takie osobliwości. Każda rzecz wydaje się nie tym, czym jest, ale czymś więcej jeszcze, i może ma jakąś swoją tajemnicę, taką śliczną jak tajemnica piewików. Jaszczurka, która w tej chwili leży niedaleko mnie na kamieniu, nieruchoma i błyszcząca jak robota złotnicza, sosna,

która właśnie uroniła dwie wielkie, złote lzy żywicy, mrówka, która rozsuwa źdźbła trawy -- wszystkie te stworzenia, pod innym niebem wyrażające tylko życie przyrody, w tym powietrzu nasyconym ambrozją mogą być obrazem jakiejś przemiany, sprowadzonej błędem lub lekkomyślnością. Grecy mieli oczy i uszy otwarte na wszystko, co dokoła nich żyło, i wszystko, co zadziwiało ich umysł, było godne uduchowienia. Wszędzie istniały jakieś szczątki głów myślących i cierpiących serc. Jaskółka była nie tylko czarnym krzyżykiem błogosławiącym wiosnę, ale i zaklętą duszą smutnej Filomeli. A kiedy Homer mówi, że „żaden ptak nie przyniósł Demetrze wieści o córce”, czujemy, że mogły to być czasy, gdy wszystkie istoty rozumiały się wzajemnie. Może niektóre kwiaty do dziś zachowały taki przepych królewski, ponieważ kiedyś ubarwiła je krew, najcenniejsza purpura. Dla Greków nawet kamienie wyzywały się martwoty. Myśl o religii greckiej napędza nas pogodą i szczęściem, albowiem otwiera przed nami wizję ludzi, którzy żyli w bajce.

Wzgórek, na którym leżą, pokrywa część stadionu. Pod moim grzbietem, gdzieś bardzo głęboko, drży ziemia wspomnieniem śmigłych nóg. Biegło po niej dziesięć błyszczących stuleci. Ziarna piasku, które wylatywały z tego wąwozu zwycięstwa, tężały na równinie olimpijskiej w jasne bryły marmuru. Wykuwała się z nich sława posągów i radosna modlitwa świątyni. Ani jedno pokolenie nie przeminęło, nie zostawiwszy w pierw odcisku swych stóp w świętym okręgu. Ze zbożną chciwością wyzyskano każdą piędź bezcennej ziemi, aby ją nakryć płytą jakiejś pamiątki. Gdy zabudowuję w myśli tę niewielką przestrzeń, gdy wokół roztacza się ścisła palisada kolumn, gdy niezliczone statuy wikłają przejścia między świątyniami i ołtarzami i gdy nadciąga ich jeszcze więcej, czyni się tak ciasno, że w stłoczonej wyobraźni rozrywają się zbyt szczupłe ramy planu. Zdaje się, że gdyby wszystkie gmachy i pomniki naraz powstały, rozpoczęłyby się między nimi wędka o miejsce. Szyki kolumn wtargnęłyby na siebie, drobne budowle podważałyby fundamenty wielkich świątyni jak grzyby wydobywające się spod korzeni drzew, posągi kłóciłyby się o piedestały, dla których nie byłoby już wolnej przestrzeni.

Czas utrzymał to gospodarstwo w zgodzie i w porządku. Brązy i marmury rozproszył po świecie, gmachy obalił na ziemię. W V wieku naszej ery cesarz Teodozjusz II kazał zburzyć Olimpię. Spłonął święty gaj: oliwki, platany i białe topole, które Herakles przywiózł z kraju Hiperborejczyków. Czego nie zniszczył pożar, to pokruszyło w sto lat później trzęsienie ziemi. Na bezładnym rumowisku zaczęło się budować nowe miasto. Nad pracownią Fidiasza rozpięła się kopuła bizantyjskiej cerkwi. Wtedy zerwały się do obrony stare bóstwa greckiej przyrody. Stńimień Kladeosu wezbrał i całą równinę pokrył grubą warstwą mułu. Wzgórze Kronosa osunęło się i resztę pola, dokąd woda nie mogła

sięgnąć, zasypało ławicą piasku. Wyrosła trawa, wiatr posłał drzewa. Dookoła szalasów pastuszych, przez tysiąc lat tajemnicy, pasły się kozy.

Nawet i dziś -- już odsłoniętych ruin przyroda nie wypuszcza ze swojej opieki. Wieczyście twórcza, samą śmierć otacza słodką i kojącą iluzją życia. Na pobojowisku olimpijskim rozłożyła swój pachnący lazaret. W każdy złom sypie kwiaty i w otwartych grobach lepi ule pszczół. Cieniem drzew gasi upał pustkowia. Oderwane kamienie, które by potraçała każda noga, wchłania w miękkie puch trawy. Oczywiście, nie może nigdy nadażyć, aby obrzucić bluszczem wszystkie spróchniałe ściany.

I nie może napełnić wodą okrągłej cembrowiny, która na spopiela- łym boisku palestry otwiera się*sucha i gorąca. Niegdyś z jej chłodnego mroku ciągnięto wiadra na obmycie ciał z kurzu olimpijskiego.

Zdaje mi się, że widzę:

Ze skrobaczką, od nagłego bezruchu zawieszoną w powietrzu, stoi, jakby się wsłuchiwał w tętno swojej młodej krwi, płynącej w żyłach natężonych jeszcze niedawną walką. Ale oddech już ucichł i odnalazł zwyczajne łożyska w niezawodnym sklepieniu płuc i serce, jak wahadło wracające na drogę swego biegu, odzyskało rytm spokojny. Z doskonałej równowagi wszystkich narządów rozplynęła się po ciele radość, skupiona i pohamowana, oszczędna radość mięśni, ścięgien i nerwów. Rozchyliły się wargi ku rychłemu westchnieniu. W uszach dzwonią już słowa złotej pieśni, jaką go jutro wystawią, gdy z rąk kapłana otrzyma gałązkę świętej oliwki. Rozdymają się nozdrza na podmuch wiatru, który niesie na końcu swych skrzydeł daleki obrzask ofiarnego dymu. Oczy dźwigają się ku jasnemu niebu, jakby się spodziewały dojrzeć mglisty zarys jakiegoś boga, który się nazbyt przybliżył do ziemi, za wonią palonego mięsa.

Hej, pyle złocisty i trwogo łopatek, które już czują pod sobą tve gryzące ziarenka! Hej, walko jedyna, najcudniejsza gro rozśpiewanych mięśni!

Wszystko już odwiedziłem. I sędziwą świątynię Hery, wspartą na obłych, przysadkowych kolumnach, i rotundę Filipejonu, na którym spoczęła może dłoń Aleksandra Wielkiego, i pagórek, gdzie stał ołtarz Dzeusa, usypany z kości i popiołów ofiarnych, i sanktuaria, skarbce, ekседry, portyki, gimnazjony, aż do domu Nerona -- rozsuwałem jak geolog narosłe na sobie warstwy wieków, wszystkie okruchy rozważyłem z należywym skupieniem i spełniłem nad nimi sute libacje wspomnień. A teraz mój hotel dzwoni na obiad. Na modre oczy nimfl nie tak głośno, żeby nie zbudzić dozorca ruin, który śpi w buleuterionie. Nie chcę, żeby mnie teraz widział. Kradnę jeden kamyczek z mozaiki w przedsionku świątyni Dzeusa. Trudno, nie jestem angielskim lordem, aby móc popełnić wielkie, chwalebne łupiestwo. Moje skarby prze-

puszczą przez wszystkie granice. Wywiozę z Grecji gałązkę oliwki, która rośnie na Akropolu, kwiat rumianku z teatru Dionizosa, liść platanu z okolic, gdzie była Akademia -- i ten kamyk ze świątyni Dzeusa.

Śmieszny, drobny szary kamuszek rzeczny. Z jednej strony zachował jeszcze okrągłość, w jaką go wytoczyły wody Kladeosu, z drugiej zaś jest starty nogami ludzkimi. Przesunęły się po nim tysiące pielgrzymów, którzy szli oglądać Fidiaszowego Dzeusa. Pod uciskiem sandałów mój kamyk mógł jeno słyszeć, jak się otwierały i zamykały ciężkie, spiżowe podwoje. Widzieć nie mógł nic, bo był zawsze za drzwiami. Jeśliby kiedyś przemówił, opowiedziałby mi, jak wyglądały obuwie i nogi kilku stuleci i jaki dźwięk miały zawiasy świątynnych drzwi.

Dzwon hotelowy na próżno mnie woła. Muszę się pokłonić jeszcze na jednym progu.

W szerokim zagłębieniu gruntu sterczy kilka ścian na podmurowaniu z tufu, a pod nimi rozsypuje się zwyczajne rumowisko kamieni, płyt marmurowych, pokruszonych kolumn. Była tu pracownia Fidiasza. Za przedsionkiem, wspartym na czterech słupach, otwiera się wielka sala o rozmiarach celi świątyni Dzeusa. Podział na trzy nawy, cały układ architektoniczny, oświetlenie -- były dokładnie takie same, aby rzeźbiarz mógł o każdej porze rozważyć i ocenić najdrobniejsze efekty.

Fidiasz zamknął się w tych murach na parę lat razem ze swoim bratem, malarzem Panajnosem, i z cyzelatorem Kolotesem. Najpierw wznosił rusztowanie z drzewa, a na nim dopiero utwierdzał kolejno poszczególne części: osobno wypolerowane kawały kości słoniowej i osobno złote blachy. Było to wysokie jak dom -- na osiemnaście metrów. Rój pomocników zbiegał po drabinach: przykładali, przymierzali, znów odnosili na dół, znów wciągali na górę, dopóki barki, szyja, ramiona, kolana nie zaczęły się zrastać. Przyległy pokój nieomal od podłogi do powały był pełen zwojów papirusu, drewnianych tablic, glinianych czerepów. Wszystkie zawierały rysunki, szkice, projekty, jakieś części olbrzymiego planu, rozbite i bezładne, których całości nikt prócz Fidiasza nie obejmował. Każdy pracował tylko nad ułamkiem potężnego świata, który wylaniał się powoli w grozie rozerwanych członów.

Miał bowiem stanąć aż pod strop wyniosły posąg boga siedzącego na tronie, z berłem w jednej, z boginią zwycięstwa w drugiej dłoni, a zarówno tron, jak i każda jego poręcz, i podstawa, na której spoczywał, i stołeczek pod nogi bóstwa, i płaszcz, co mu lędźwie okrywał, i wieniec oliwny opasujący skronie -- wszystko trzeba było odlać z tego samego kruszcu sztuki, jaki płynął w żyłach głównej myśli dzieła. Zatem każdy przedmiot był wynikiem badań, poszukiwań, wspólnych wysiłków rzeźbiarza, malarza i cyzelatora. Otwierały się zamczyste szkatuły i wybierano z nich szafiry, Tubiny, ametysty, szmaragdy, topa-

zy. Białe kły słoni eiąto w delikatne płytki. Szlifowały się kielichy lilii według najpiękniejszych na ziemi kwiatów, w złocie i w emalii wyry- sowywały się najwytworniejsze listki oliwne i najbogatsze orle pióra. Hory, Charyty, Afrodyta na pianach morskich, Herakles, Tezeusz, Amazonki -- wszystkie figury tronu, stołka, podstawy cisnęły się błyszczącą ciżbą. Nie pozostawiono ani cala wolnego miejsca, w każdą pustkę sypano złoto i drogie kamienie, nawet rzemyki sandałów, nawet brzegi ich podeszwy zapełniono jakimś drobnym mistrzostwem.

Najdłużej stało nietknięte rusztowanie powyżej barków, tam gdzie na równo wyokrąglonej szyi miała spocząć głowa. Ogromny posąg jeszcze nie żył. Fidiasz wciąż odnajdywał jakieś szczegóły do wykończenia, kazał odejmować i przerabiać zupełnie ukryte drobiazgi i rodził się niepokój, że chyba nigdy nie ośmieli się przyłożyć dłuta do twarzy boskiej. Aż w pewne rano, po nocy, w ciągu której w pracowni nie gasło światło, zwołał wszystkich pomocników. Każdemu wyznaczył robotę według przygotowanych rysunków. Sam prowadził jakby wszystkie ręce jednocześnie. Wtedy z płytek kości słoniowej złożyła się twarz o nieporównanym spokoju, z czołem szerokim i jasnym jak niebo. Obiegały ją długie, płynne kędziory i potężny, gęsty zarost. Oczy wycięte w dwóch ciemnych szafirach spojrzały głęboką tajemnicą stworzonego świata.

Rozpaczliwa jest beziła mojej wyobraźni. Jestem jak ostatni z ciurów tej wielkiej roboty. Słyszę tylko dzwon młotków po złotych blachach i trzeszczenie ogromnego rusztowania. Niekiedy zamigocą mi w oczach drogie kamienie rozłożone na stole i pocuję swąd pieca, nad którym przyrządzają emalię. Stoję niżej od ostatniego z ciurów. Albowiem dla mnie nigdy nie przyjdzie ten dzień, który on miał raz w życiu -- kiedy już wszystko przeniesiono do świątyni, kiedy już rozebrał drabiny i wymiół śmiecie, mógł opuścić spracowane ręce i podnieść na koniec oczy ku swemu bogu, którego mu już nikt nie zasłaniał. Ja zaś będę zawsze za drzwiami, podobnie jak ten kamyczek wydłubany w przedsiönku, i jeśli mi je uchylą, zobaczę tylko plecy Fidiasza -- olbrzyma dźwigającego się z otchłani mroku.

AGNUS CASTUS

Wziąłem laskę do ręki i ruszyłem przed siebie. Nastął cudowny tydzień wędrowania pod słońcem i deszczem.

Co za rozkosz iść przez pola, przez trawy, przeskakiwać rowy, ścinać kijem chwasty, rwać liście z drzew zwieszających się nad ścieżką, rozgniatać w dłoni miękkie, wilgotne kłosa zbóż zielonych ocierających się o łydki, podnosić gałązki winorośli, aby dojrzeć ledwo wytrysłe perłki drobnouchnych gron. Wolna, jasna przestrzeń, której nieobjęte

obszary rozszerza moja ciekawość, której słodka cisza dzwoni biciem mojego serca -- niesie mi życie na swych wielkich dłoniach. Jakie daleko pozostał krzyż ramy okiennej, na której umierały moje tęsknoty! W ogromnym blasku rozplynął się nikły krążek światła lampy, pod którym siedząc byłem jak domek pałacy się żółtym okienkiem wśród czarnej pustej nocy.

O, drogo splekana od gorąca, towarzyszek moich nóg! O, wietrze, bracie wesoły!

Zegarek stanął na trzeciej godzinie -- nie wiadomo: dnia czy nocy. Czas zagubił się jeszcze na ostatniej stacji kolejowej, w pocziwym Zewgalatio, gdzie złożyłem swój cały bagaż -- pod opieką cywilizacji, z którą się właśnie pożegnałem. Odtąd odmieniać się będą tylko wschody i zachody słońca, jak w bajce.

Z wysokości starożytnej Itome, sponad cyprysów klasztoru Wurunkano, widzę błogo rozciągniętą dolinę Mesenii. Dwa morza mienią się opalami świtu u jej płowych wybrzeży. „A od wschodniej strony postawił Pan cherubina z mieczem płomienistym." Na straży tego rajy wznosi się Taj- get błyszczący białym ogniem śniegów. Wsparty na potężnych osadach, sfałdowany jak skóra potwornego zwierza, kosmaty lasami, rozgniata równinę meseńską i potulne wioski, które przywarły do jego stoków wyciągniętych jak długie, drapieżne łapy.

Całą historię kraju obejmuję tym jednym spojrzeniem. Pod górską czatownią leży nizina szczerą, jasną, serdeczną jak otwarta dłoń. Nigdy nie wysunęła się ku niej przyjazna prawica. Spoza Tajgetu przerzucona włócznia spartańska przebiła ją wskroś kości i ścięgna. Setkami lat płynęła krew. Naród, który nigdy nie sięgał po cudzy dom, nie zazdrościł sławy obcym wojownikom, naród słowiański, z usposobienia prostoduszny, naiwny, bezbronny, stworzony do sochy i sierpa, mocą niedorzecznych losów hartował dusze bohaterów. Serce, szerokie jak słońce o pogodnym zachodzie, poznało wszystkie uniesienia powstań i gorycz klęski. Niezmiernie cmentarze są utajone w tej ziemi. Po jej skrajach widzę znajomą polskiemu oku rdzę łańcuchów.

Ale bujna, rodząca ziemia o niczym nie pamięta. Od dawna granice, rozgrodzone spartańskim mieczem, podniosły się niefrasobliwą zielenią żywopłotów. Niewyczerpane wesele wiosny pokryło wszystkie rany, a ruiny fortec, gdziekolwiek jeszcze były, stoczył czas na próchnicę pod świeże urodzaje. Nieomylna sprawiedliwość odgarnęła wszystkie spartańskie okruchy i rozsypała je za Tajget, poza biały chór śnieżnych wierzchów, które mocą zimnych wiatrów śpiewają dawną pieśń wojenną. Chyba ja sam jeden na tym słonecznym obszarze myślę i pamiętam. Komuż tu bowiem przyda się liczyć tak stare groby, skoro od tej pory tyle nowych mogił narosło?

Idę na przełaj przez młody, niebieski dzień. Horyzont jest lekki jak świeżo napięty łuk. Obłok pyłu podnosi się z ziemi i błyszczy w słońcu

kolumną migotliwych światełek. Jakby mnie prowadziły mlriady pltago- rejskich dusz.

Wychodzą na spotkanie wie i miasteczka -- na ich czele: chude dzwonnice i opaste kopyły. Oliwki ukrywają w swym cleniu małe kapliczki, chłodne jak dzbany gliniane. Sady fig i granatów opasują każdy dom, każdą zagrodą. Z alei morw wysnuwa się ścieżka jak nić jedwabnika. Wije się cudnie między polami i winnicami, aż zapada w chaszcze nastroszone kolcami opuncyj. Ciemne pnie cyprysów rozdeptują kałuże światła rozlane po ziemi. Nieznane ptactwo obwołuje mnie obcą mową. Kozy i baranki pasą się szczodrzenicą. W powszechnym milczeniu pocziwy zapach mięty wzbija się ku niebu z bezgraniczną ufnością, że go Bóg wysłucha.

Łyskają pomarańcze na drzewach. Nagle jedna odrywa się od gałęzi i spada u moich stóp, jakby strącona rozkazem losu. Gdybym miał oczy moich ośmiu lat, dojrzałbym zapewne siwego Ogrodnika z malowanej Biblii i Jego rękę strącającą dla mnie owoc z drzewa. Podnoszę go i obieram. Zdaje mi się, że chyba nigdy dotychczas nie jadłem pomarańczy, albowiem sok tych działek, które teraz rozplywają mi się w ustach, nasycia nie tylko podniebienie, ale i serce. Rozlewa się wokół mnie jakieś życie, zaledwie przezuwane, ogromnie dobre i słodkie -- życie pastuszków sielanki, o duszach przezroczystych, w których jak w szklanych ulach widać układające się ciężkie, złote plastry -- życie ludzi, którzy w izbach wybielonych czystością myśli ugaszczają bogów chlebem i winem i którzy wśród wszystkich konstelacji niebieskich najrychlej i nieomylnie odnajdują gwiazdę betlejemską.

Drobne poniki, łączące się gdzieś w swych ukrytych przebiegach z dzwonnym strumieniem Pamisosu, tryskają nieoczekiwanie spod wzdętych pagórków, starych platanów i spod nasypu kamieni. Źródła gaszą skwar przygarścią chłodnej, nad wszystkie napoje wyborniejszej wody. Ale to rzecz małego znaczenia -- takie odświeżenie ust przydrożną strugą. To nie jest „właściwe” picie wody. Mój gospodarz wstaje rano, bierze kubek, idzie do krynicy, nabiera. Rozgląda się po niebie jak augur rzymski. Bada drogi na wschód i drogi na zachód z kubkiem w dłoni. Jest cały różowy od świtu. Na czole, na ramionach, na piersiach kładzie długi znak krzyża. Raz, drugi i trzeci. Wtedy podnosi kubek i wypija. Pierwszy ranny kubek z własnego źródła. Oczyszczenie krwi z nocnych upałów. Obmycie duszy na nowy boży dzień. Za czym ja biorę od niego ten święty poczęstunek, a potem i samą dłoń i ruszam zostawiając pod jego strzechą jedną minioną noc.

Z nadejściem każdego wieczoru przysiadam na czymś gościnnym progu. Chata: cztery mury, szare lub białe, w nich drzwi niskie i dwa okna, obwiedzione szlakiem niebieskiej farby. Nad tym dach pochylony lub płaski. Przed chatą figi, grusze, orzechy lub pomarańcze. Na podwórzu studnia> przy niej śpią stągwie gliniane po skończonej robocie.

Drzewa, bliskie domu, przyciągają gałęzie jak do snu, a te, co stoją daleko, wyrysowują się w szafirze nieba czarne, nieporuszone, delikatne jak na witrażu.

Wokoło rozmaitej płci homo alpinus: średni wzrost, głowa okrągła, twarz szeroka, oczy ciemne, włosy czarne. Kobiety mają naszyjniki ze srebrnych monet, ze złotym dukatem pośrodku, nad piersiami. Wystroili się do cudzoziemca. Sypią się na mnie pytania, które tylko przez pół rozumiem. Odpowiadam najczęściej samym uśmiechem. To nam w ogóle wystarcza, tylko jedna rzecz pozostanie na zawsze między nami nie wyjaśniona -- dlaczego człowiek tak straszliwie bogaty chodzi piechotą. Nikt bowiem nie wytłumaczy Meseńczykom, że zagraniczny lordos nie nosi pod kamizelką pasa z dukatami. Dają mi wódkę pachnącą -- „raki”, gdzie indziej „mastikę” -- alkohol pomieszany z gumą żywicznej lentyski, albo po prostu własne wino, zawsze zaprawione żywicą, jak się to już działo w czasach Plutarcha -- żywicą, którą zbierają w czerepki ustawione pod pniami sosen. Jem, co się zdarzy: baraninę, jaja, owoce albo tę przedziwność -- zupę z ryżu i wszystkiego, co rośnie dookoła domu: cebuli, grochu, kwiatów maku, liści malwy, nawet ostów. Dymią gamki w kole uśmiechów chłopstwa, szczerego jak ziemia.

Za czym nasycone żołądki cięższą i zaczynają się śpiewy. Żalodne, melancholijne, posepne. Z przewlekłej, ciągliwej masy wydobywają się niekiedy ostre nosowe dźwięki. Pieśni mówią o chłopcach i dziewczętach, o matkach opatrujących rany synów. Jak krótkie błyskawice przelatują nade mną słowa: Olimbos, Charos, Mire *. Mężczyźni biorą się za ręce, tańczą. Krąg zamknięty obraca się dookoła wolno, monotonna, z kroku w krok, w takt owych śpiewów rozmiękłych. Żadnych ruchów żywszych, niczyja noga nie podskoczy różnym tupnięciem, jeno ciało pochyla się to w przód, to w tył i niezmiennie koło opisuje się bez końca.

A potem łóżko, wyścielone rozłożysto w izbie pachnącej figami, serem i winem. Bukłak z winem wisi w kącie. Uszyty ze skóry wieprza, oddaje dokładnie jego kształty. I jakoś zawsze zniecka, przez nie domknięte okiennice wlatuje poranne niebo jak świtezianka. Na podwórzu śmieją się rozbudzone stągwie. Z Tajgetu zbiega jutrzienka: jest jeszcze w nocnej bieliźnie, na którą w pośpiechu narzuciła czerwoną spódnicę.

Dopiero czwartego dnia pod wieczór doszedłem do Kalamaty. Białe miasto siedzi nad jasną, niebieską zatoką. Co Mesenia wyhoduje, co wyorze drewniana socha, która tylko na pięć cali wchodzi w ziemię, tutaj zamykają w worki, paki, kadzie i wysyłają za morze. Jest to wielki magazyn oliwy, kokonów jedwabniczych, wina, rodzyneków, fig, poma-

rańcz, jarzyn. Zegar miejski zdaje się odmierzać godziny rytmem podobnym do stukania młotków wbijających gwoździe.

A więc ścieżynami wśród sadów i szerokimi drogami wśród pagórków ruszyłem ku wschodowi. Zegnała mnie pobożna sygnaturka, jak ptak schowana w gałęziach starego platanu.

Tajget przybliżał swoje pierwsze garby. Już tylko rzadkie oliwki rozbiegały się po kamienistym pustkowiu. Z przedgórzy Tajgetu widziało się mapę południowego Peloponezu. Wąska droga skalna obracała się to na południe, to na północ, to na wschód. Nad złomami cyklopich murów polatał jeden wiersz „Odysei”. Za wioską Jannica dziwo szumiące: step na płaskowzgórzu Tikli. Trawa sucha, chrzęszcząca sięgała ramion. Nad głową srożył się upał. Horyzont był biały i twardy. Słońce biło z niego ostre jak stal. Jakaś dobrotliwa droga wywiódła mnie z tych płonących chaszczów pod wonny cień sosen. Płuca rozwarły się szeroko i do dna oddechu wypełniły się kojącym balsamem.

-- Wre, adelfel

Gdzieś za moimi plecami podniosło się nagle to wołanie, gdy pochylałem się do ziemi, aby odgarnąć igliwie z wyraźnych wzdłuż skały kolein starożytnej drogi. Tędy jechał Telemach do Menelaosa, do Sparty. Jego wozy tak samo skrzypiały jak te, co w tej chwili jadą przede mną. Słysząc trzask bicz i okrzyk: -- Hurri! Okso! -- To samo słońce świeci spomiędzy gałęzi sosen.

-- Wre adelfel

Komuż tu dziś jestem bratem? Jakiś człowiek jedzie na mule, a drugiego prowadzi za uzdę. Daje mi do zrozumienia, że mogę z nim razem jechać. -- Słońce zanadto ciężkie -- powiada. Podaje mi rękę i podtrzymuje przy wsiadaniu.

Kopyta muła dzwonią o kamienie. Grzbiet jego kołysze się równo. Słowa Greka płyną niezrozumiale i życzliwe. Droga chwieje się nad przepaścią. W odmierzonym rytmie zwierzęcia, w monotonii ruchu, w którym się bierze tak niewielki udział, czerpię poczucie całkowitej pewności i bezpieczeństwa. Przysmykam oczy i zasypiam.

Otwieram je pośród nagich krzesanic. Na skałę wdrapało się kilkanaście domków i wzajemnie się podpierają, aby się mocniej trzymać. Co to jest?

-- Krenitsa.

Moje plemię nazwało to uroczysko: Krynicą, mianem perlistym, chłodnym i rześkim. W wędrowce po starej ziemi greckiej odzywają się do mnie co chwila słowiańskie imiona. Są ich tysiące: od źródeł, rzek, łąk, drzew, jagód leśnych. Niektóre są dziwne i niezbadane, a inne są tak bliskie sercu, że ich dźwięk załamuje się nagle tęczę, jakby zawisł na kryształach łązy: Varassova, Varsova, Krakova. Wychodzą nieoczekiwanie z wąwozów górskich, pośród pól, sponad strumieni, jakby

nimfy przestały być nimfami i zmieniły się w rusalki, miawki, dzi-wożony.

Pod drzwiami „chani” mój przygodny agojata załatwia najpierw jakieś zawile interesy. Przypiera do muru poważnego brodacza i zaczyna z nim długie targi. Wykłada coraz nowe racje, dyskutuje, na rozstawionych palcach nawija sylogizmy jak przedziwo, stara się go oczarować, jest Sokratesem i Gorgiaszem równocześnie, aż na koniec w dwóch zgodnych uśmiechach następuje to, co Grek przedziwnie nazywa: „symfonią”, czyli porozumieniem. Wtedy jeden drugiemu płaci. Daje mu papierek pięciodrachmowy, dwa papierosy nieco pomięte i garść gwoździ.

Razem wchodzimy do karczmy. W ciemnym pokoju jest zupełnie pusto, tylko w kącie dwóch kudłatych Mainotów gra w ikossiena (dwadzieścia jeden). Czuję się w tej Krynicy gospodarzem, więc na moje zlecenie stają przed nami dwie wielkie szklanki źródlanej wody, dwa małe kieliszki „raki”, które wlane do wody za chwilę rozplyną się tęczowymi kręgami, i spory półmisek jaj sadzonych 7-- awga matia. Mówimy wszystkimi językami, jak apostołowie.

Od Krynicy idę znów sam, pieszo. Tajget otwarty na oścież. Droga pnie się gzymsem skalnym, pod szarymi krzesanicami, nad którymi krążą orły, to znów opada śliskim korytarzem kamiennym albo głębokim parowem. Ze wszech stron zamknięte pustkowia, napełnione dusznym powietrzem i skwarem, który leje się wprost z odsłoniętego nieba -- nieoczekiwanie przechodzą w dziwne wyloty górskie, gdzie czuje się daleki, lecz wyraźny smak wiatru od morza. Z brzegów przepaści, połyskujących jak studnie z alabastru, słychać dołem płynący uroczysty szmer wody.

Każdy objaw życia w tej górskiej pustyni budzi radość. Dom przyrosły do skały, koza stojąca na wysuniętym szczycie, śniada twarz pastucha wychylająca się spod grubej pilśniowej kapuzy, kępka fiołków alpejskich jak bukciek rzucony między kamienie, wicherek bluszczu zwisający nad szczeliną -- wszystko to jest szczególnie wesołe i zdaje mi się, że nigdzie anemony nie kwitną takim jak tutaj oślepiającym blaskiem.

Jedynie drzewa smutne. Czasem rozchyli się widok na zbocza obszyte równym borem, ale przy samej drodze, po skałach, rosną tylko pasierby lasu, z błędnych, wiatrem zagnanych nasion powstałe. Ani jedno drzewo nie żyje w zaciszu należycie trawionych soków ziemi. Wszystkie dają świadectwo niewiarogodnych zmagania ze śmiercią. Roz- paczliwie powykręcane konary, zwicnięte pnie, które jednak śmiałym podchwycem, niby zgiętym w łokciu ramieniem, dźwigają nad przepaścią wciąż wzrastający ciężar korony, nadmiar napowietrznych korzeni, które gamą pod siebie i ratują od zagłady odrobinę gleby, z takim trudem zdobyta wśród rozpalonych i jałowych głązów, kruchych, niestałych,

wiecznie usuwających się w dół własnym bezwładem i pod naciskiem deszczów -- oto wieloletnie dzieje mąk i bohaterstwa, spełnianego w głuchych samotniach przez istoty stworzone do pionowej strzelistości, do szerokiego, swobodnego rozłożenia szumiących spławów.

Oczywiście i radość z tamtych drobiazgów, i ból tych samotnych drzew odczuwa się przez ucisk własnego serca, które wydaje się tak zupełnie bezbronne i opuszczone w wąwozie Langada. Posępna, złowrogą ciszę przerywa jeno zgrzyt twardych kamieni osuwających się z nachylonych stoków. Biały, stężały żar przecina z nagłą wiatr, który ześliznąwszy się z chłodnej wysokości przemknie płaskim ostrzem niby śmigłowiec kosi. Nie było to z pewnością dziełem przypadku, że jedynie na tej drodze spotkałem ludzi, którzy mijając się ze mną w tak wąskim przejściu, iż ocieraliśmy się o siebie ramionami, nie odpowiadali najmniejszym skinieniem na moje pozdrowienia. Byli to ludzie z Lakonii. Mężczyźni szli pieszo, kobiety jechały na mułach, niekiedy po dwie na jednym zwierzęciu. Obok, trzymając się ogonów, biegli mali chłopcy. Za nimi starzec w grubym kozuchu pędził trzodę owiec. Ogłuszone bliskością przepaści, strwożone jeszcze bardziej tym, że nie mogły zbić się w ciasną gromadkę, owce sunęły pod samą ścianą skalną, ze spuszczoneymi głowami i -- jak mi się zdawało -- z zamkniętymi oczyma.

Słońce zapadło za wysokie urwisko i teraz już wędruje przez Mesenię na codzienną kąpiel w Jońskim Morzu. Na otwartym świecie jest jeszcze jasno, a w parowie już mrok gęstnieje. Przed domem siedzi kobieta i na motowidle czesze złote nici jedwabiu, jak skradzione promienie dnia. Ogromne platany szumią nad wioską, której domki osypują się z góry w wąwóz niby płatki białych kwiatów. Źródła zbiegają w kaskadach i dzwonią wśród nieporównanej ciszy. Nazywa się to: Trypi i tu kończy się droga przez Tajget do Sparty.

Schodząc nazajutrz ku dolinie spartańskiej, spotkałem po drodze imię, którego nigdy dotychczas nie słyszałem i nigdy nie szukałem na mapie. Mistra. Całkowite miasto średniowieczne, nie zburzone trzęsieniem ziemi, nie pokryte lawą ani popiołem wulkanu. Po prostu odcięte od życia, odrzucone poza jego obręb, jak uderzeniem potężnej, a niewidzialnej pięści. Nigdy nie domyślałem się, że coś podobnego istnieje. Pompeje wydają się niemal naturalnym rumowiskiem, przyjmuje się je po prostu bez zastrzeżeń, bo świat, co je budował, pozostał daleko za nami. Ale tu śmierć jest zaledwie wczorajsza. Miasto żyło jeszcze w końcu XVIII wieku. Leży więc przede mną trup o rysach bliskich i znajomych.

Dlaczego to miasto umarło, skoro setki innych, zupełnie podobnych, żyją dalej i na ich starych murach zakładają się nowe gniazda? Dlaczego ludzie stąd odeszli, a tylko u stóp góry przywarła mała wioska niby pies na progu pańskiego domu? Być może dlatego, że nie przyszli

tu z własnej woli. Mistra nie narastała od wieków upartymi osadami ludzkimi, lecz dźwignęła się nagłym postanowieniem rycerza Wilhelma z Villehardouin, który w XIV stuleciu szczyt góry otoczył murami fortecy, aby panować nad Lakonią. Z biegiem czasu wyrosło pod zamkiem „wysokie miasto”, a jeszcze niżej przedmieście, pełne will i klasztorów. Mistra stała się „cudem Morei”, jednym z największych miast na półwyspie. Panował nad nim na przemian orzeł Paleologów, turecki półksiężyc i lew św. Marka. Turcy, wciąż odpędzani, wracali kilkakrotnie, aby zakrywać wapnem freski kościołów. Wreszcie w tajemniczy sposób wygasł źródł życia, otwarty przed czterystu laty mieczem rycerza z Szampanii. Ani słońce nie odwróciło się od Mistry, ani pola pod nią nie wyjałowiały, w całej przyrodzie nie zmieniło się nic na szkodę człowieka, a miasto upadło prawie tak nagle, jak nagle powstało, i tak bezpowrotnie, jakby odwieczna Mojra przecięła nić jego losów. W wesołym pejzażu znajdę tylko jeden ton na miarę smutku Mistry: sucha rzeka, która tuż pod wzgórzem płynie białymi jak kości kamieniami, bez kropli wody.

Wąskie, kręte uliczki – poczciwe średniowieczne drożyny, swoją ciasnotą nachylające ku sobie domy, przybliżające rody i ręce, które rozdziela żelazo i wiąże stęła. Bruk trochę pogarbiony, miejscami rozłupany. Pełzające rośliny wciskają się między szpary i powoli odczepiają kamień od kamienia. Niektóre ulice przyjęły już wygląd zaniedbanych ścieżek, poprzerastanych dzikim zielskiem. Wysokie, twardo murowane portale prowadzą do pałaców, którym niebo zastępuje dachy. Przez ażury wież przegląda błękit jak modra emalia. Zdarzają się ściany surowe, o paru oknach w górze, oknach bez szyb, szarych jak puste oczodoły, z których już nie wychyli się niczyje spojrzenie. Nad ulicami przeginają się zwietrzałe sklepienia, a w kilku miejscach otwierają się omszałe galerie podziemne, pachnące stęchlizną opuszczonych lochów. To wszystko siedzi pod opieką fortecy o srogich murach, okutych wieżami. Bramy ze śniedzią wylamanych zawiasów, grzebienie blanków, baszty, wartownie, cały bezduszny sprzęt wojenny zajmuje wierzchołek góry.

W jasności greckiego słońca snuje się ballada średniowiecznej romantyki. Otwierają się szlaki wojen krzyżowych. Powstaje w wyobraźni dziwny czas diuków ateńskich i grafów Morei i legenda szwalerii opada ciemnym bluszczem na białe ruiny antyku. Na drodze do Ziemi Świętej rycerze chrześcijańscy spotykają w tych stronach jeszcze nie wygasłe ołtarze starych bogów i przez jedną chwilę ich myśl zdaje się ważyć na biegunach kołyski Euforiona, który był dzieckiem Fausta i Heleny.

Na szczycie cytadeli, pomiędzy zwaliskami, grają cichutko grządki jęczmienia. Samosiewne figi i pomarańcze wyrastają z płyt dziedzińców i na terasach i wdzierają się przez drzwi, które wiatr na zawsze

otworzył. W bluszczu brzęczą pszczoły. Na placu przed kościołem bez kwitnie. Pomimo dozoru stróżów miasto stroi się wiosną. Gdyby mu pozostawić swobodę, dorównałoby wzorzystością ścianom cerkwi.

Tam bowiem, w nieskończonej mnogości fresków, kwitnie pstre Bizancjum. Barwy nieco przywidłe mają subtelny wdzięk spłowiałych arrasów. Figury zawsze jakby zakrzepłe, oczy szerokie i żarliwe, twarze surowe lub łagodne, gesty podobne stężalym słowom liturgii -- opowiadają na tysiączne sposoby Pismo święte, lecz już nie samą naiwną, prostoduszną legendę, ale jakby jej uczone wydanie, ze wszystkimi zawiłościami alegorycznego wykładu, z całym narostem metafizyki, przeczuć i domysłów. Są to owe bizantyjskie pieśni malowane, chóry niedzielne, litanie rozszerzone fantastyczną symboliką -- sztuka mętna jak dym kadzidła, błyszcząca jak monstrancja, barwna jak promień słońca w witrażu, sztuka, która obciąża powieki, zwalnia myśl i ciągnie ją na długie ścieżki marzenia.

Z cytadeli Mistry, z ulic „wysokiego miasta" wybiegających nad sam brzeg wzgórza, z pustych okien i balkonów -- widać dolinę lakońską w pyle słonecznym. Od wschodu zamyka ją ciemna ściana Pamonu. Z północy, z górskich cieśnin Arkadii wypływa Eurotas i szerokim, spokojnym popławem, poprzez pola i winnice niesie się ku południowemu morzu. Wśród ogrodów jaśnieją białościennie wioski. Najbliższa z nich, rozrzucona już w obszar miasteczka, leży Sparta. Wiatr dziejów odwiał z jej nieboskłonu dawną surowość. Rozplynęła się w błękicie wizja jej królów i wojowników. Żadna forteca, żaden mur cyklopi nie skanduje krajobrazu w rytm epicki. Miętko, cicho wtulają się domy w dookólną zieloność. Na skrzydłach ptaków podnosi się z pulchnego dołu równy, łagodny oddech sielanki.

Sparta dzisiejsza nie ma jeszcze stu lat. Powstała z rozkazu tego samego króla Ottona, który odbudował Ateny. Skleciło się miasteczko prowincjonalne, zagubione wśród rozległej równiny, przyciśnięte wysokimi górami i ogromną legendą. Droga ze świata prowadzi do niej zawsze jeszcze odwiecznym sposobem długiej podróży na wozach, koniach lub mułach, przez przełęcz Arkadii lub wąwozy Tajgetu. Cudzoziemca obiegają ze wszystkich stron płochliwe wiejskie spojrzenia. Ciche, pocziwe uliczki wnikają między domki ukryte w sadach i tylko główna ulica Eurotasu, „wielki plac" i ogród publiczny napelniają się w pewnych godzinach żywszym ruchem. Rząd osiodłanych mułów czeka na postoju jak taksówki. Kilka biur handlowych odwozi plon okolicznych sadów i winnic do nadmorskiego Gytejon drogą, którą uciekła Helena. Po kawiarniach, nad oślizgłymi stolikami, gdakają małomiasteczkowe utyskiwania. Tak musiała wyglądać Sparta z czasów rzymskich, kiedy posyłała prośby do cesarzy o zwolnienie od podatków. Nawet nieliczne ruiny, które się jeszcze zachowały, są przeważnie z tego okresu. Natomiast grób Leonidasa przepadł bez śladu i to, co

dzisiaj pod tym imieniem trwa w cieniu starych oliwek, jest jakąś zapomnianą świątynią.

Dwa tysiące trzysta lat temu pisał Tukidides: „Gdyby stolica Lace- demończyków kiedyś opustoszała, a pozostałyby tylko świątynie i fundamenty tamecznych budynków, to jeśli się nie mylę, po upływie długiego czasu nasi potomkowie z trudnością by uwierzyli, że jej potęga odpowiadała jej sławie... Jeśli zaś przyjmiemy, że podobny los spotkałby Ateńczyków, to z zewnętrznego wyglądu miasta można by było łatwo odgadnąć, że było ono w istocie takie świetne." Przyszłość, którą przewidywał historyk wojny peloponeskiej, oglądamy od dawna spełnioną. Obydwa współzawodniczące miasta legły w ruinie. Lecz Ateny są dzisiaj tym, czym były od czasów Peryklesa: stolicą greckiego świata. Gdy położono pierwsze kamienie węgielne pod zmartwychwstające miasto, nie było ani jednego Greka, który by nie odczuł, że ze starych podwalin powstaje dom wymarzony w latach niewoli. Ateny były zawsze hasłem, zarówno dla Greków, jak i dla całej Europy. Sparta zaś przeminęła bezpowrotnie. Przemaszerowała przez historię jak pułk tęgiej piechoty, nie pozostawiając po sobie ani jednej pamiątki w relikwiarzu cywilizacji.

Za miastem jest tak, jakby za chwilę miała się odezwać teokrytowa syringa. Pola kukurydzy i jęczmienia zmieniają się z winnicami zaplątanymi w morwy, wiązy, sykomory, cytryny i pomarańcze. Chłodne poniki niosą wspomnienia śniegów i lodów Tajgetu. W białości ciepłego dnia siwe łby gór pochylają się nad równiną z dobrotliwą surowością dziadków leśnych, opowiadających bajki. Pod starymi oliwkami baranki otaczają pasterza jak na średniowiecznych mozaikach. Spośród krzewów mącznicy zbiegają ścieżki do rzeki. W żwirach szerokiego łożyska chrząści Eurotas. Z nadbrzeżnych sitowi wyrastają dzikie oleandry, wielkie jak drzewa.

Ach, i tyś tu, „baranku niewinny”? Poznają cię przecież. Wybujaleś na trzy metry wysoko, rozszerzyłeś do słońca swe liście szarozielone, dłoniaste i pachniesz jak szkatułka korzeni. Agnus castus, krzew czystości, wstyd młodych mężatek ateńskich. Czy pamiętasz, jak się czerwieniły, gdy na pierwsze w życiu Tesmoforie kładły twoje gałązki pod poduszkę? Miałeś gasić ich żary miłosne, a sprowadzałeś tylko żarty starych bab. Jest ze mną ktoś, co twoje jasnioletowe kwiaty ozdobił cudnym wierszem. Ale nie o tobie dziś będzie mowa. Słuchaj, krzaku I

„Co za rozkosz, co za rozkosz odłożyć hełm i wrzucić weń ser i ce- bulę! Jeśli co lubię, to nie walczyć, lecz pieć przy ognisku z przyjaciółmi, w świetle suchych przyskających gałązek; lubię piec groch na rozżarzonych węglach, smażyć brukiew i pieścić młodą Thrattę, gdy żona jest w kąpieli. Nie może być nic przyjemniejszego, jak po skończonych zasiewach, które Dzeus skrapia deszczem dobroczynnym, mówić w ten

sposób do sąsiada: «Powiedz, drogi Komarchidesie, co będziemy robili? Miałbym ochotę wypić, gdy niebo zapładnia nasze bruzdy. Kobieto! ususz trzy chojniksy bobu, dodaj trochę pszenicy i przynieś fig. Niech Syra odwoła Manesa z pola: nie podobna dziś obcinać winorośli ani orać, ziemia jest nazbyt wilgotna. Niech przyniosą ode mnie drozda i dwie zięby. Jest tam jeszcze nieco siary i cztery kawałki zająca, jeśli ich kot nie zwędził wieczorem, bo jakiś hałas słyszałem po domu. Chłopcze! przynieś trzy z nich dla nas, a czwarty daj mojemu ojcu. Niech ci Ajschines da mirtu z owocem, a po drodze zawołaj Chariadesa, żeby przyszedł pić z nami, kiedy Bóg łaskawy użyźnia nasze siewy.» Lubię, gdy odzywa się słodka pieśń świerszcza, iść i zobaczyć, czy winogrona z Lemnos dojrzewają, albowiem ich owoc jest skoroźrzały. Miło mi patrzeć, jak pęcznieje młoda figa, miło jeść ją, gdy dojrzeje, rozkoszować się jej smakiem i krzyżeć: «OI chwilo szczęśliwa!* Potem napiję się odwaru z tymianku. W takie lato utyję więcej, niż kiedy widzę przed sobą nienawistnego bogom oficera z potrójną kitą na głowie, w płaszczu z błyszczącej purpury...» *

Słyszałeś, krzaku? Czemużeś rósł tutaj, zamiast wysliznąć się spod kamieni Akropolu i być świadkiem, jak w ławy teatru były te zdrowe słowa? Wojna była, paliła się ziemia pod Atenami, a chór śpiewał słodczyce pokoju. I powiesz może, iż niedługo potem burzono mury ateńskie przy granu fletów? Dobrze, ale patrz, co się dzieje. Oto ja, człowiek przez wszystkich wróżów twojej ziemi nie przeczuwany, człowiek z krajów, których twoi ludzie nie znali nawet z bajki, człowiek z tych mgieł dalekich, rozsnuty nad ich myślą o niedosiętej Północy – w dzisiejsze południe pachnące tobą i świeżą trawą podnoszę na spartańskich polach wesoły krzyk ateńskiej duszy.

„Jakże słodko pokój pachnie w mojej piersi!... Pachnie bezwojną i balsamem... pachnie zjedzoną cebulą, winogronami, ucztą, świętem Dionizosa, fletniami, tragediami, pieśniami Sofoklesa, kwiczołami, Eurypidesowym wierszem, bluszczem, tłocznią, beczącymi owcami, zanadrem kobiet biegnących przez pola, pijaną służącą, przewróconymi dzbanami...”

Każdy wiersz skanduję głośno, aż się wróble ploszą sponad sitowia. Każdą zgłoską rzucam jak kamykiem w bezdusznego zbrojnego olbrzyma, który pokutuje wśród tych sadów i winnic. Wiążę z mocnych strof ciasne pętlice i owijam je dookoła spartańskiej marzanny. Zwlokę ją z jasnego brzegu, strącę do wody i popłynie niecofnionym nurtem zapomnienia. A potem, potem, boski Arystofanesie, pić będziemy wino, które nam poda spartańska szynkarka – copa Lacaena – i lecieć nam będzie przez wargi ten dźwięk, co w każdym języku jest najśłodszy, a w greckim płynie jak miód: EIRENE.

WYSPA SŁOŃCA

Na leżącej przede raną mapie Sycylii są brunatne plamy gór i zielone skrawki dolin. Można ów cały trójkąt nakryć dłonią, tak że spoza palców przecieka tylko błękitna smuga morza. Jakby się w garści trzymało wielki świat wzruszeń. I niby nerwy samej ręki, rozplatają się czarne gałązki linii kolejowych. Nanizują się na nich kółka miast jak paciorki, Wzdłuż ich różańca przelatują drobnymi iskierkami dnie szybkie, nie- pochwytnie, którym pamięć nie zdoła nadażyć, ale które już wnikły w mój organizm jak okrągłe, pulchne cząsteczki krwi i żyć będą we mnie, choćbym sam o tym nie wiedział.

Gdy tak otwieram i zamykam dłoń nad pomarszczoną mapą, zdaje mi się, że wprost palcami przebieram we wspomnieniach. Czuję ich gładkość, śliskość, nawet pewien chłód jak przesiewanych klejnotów. I tak mi wciąż rosną, staje się ich tak wiele, że już nie tylko palce się nużą, ale i oczy, które za nimi pobiegły, drgają niby od nadmiernej jasności. Chyba istotnie było tam za wiele światła. Żadna chwila nie ma już wyraźnych konturów, bo je pożarł ów dotkliwy oblask, co się dokoła niej owinął. Nie wiadomo, co było przedtem, co potem, a co w pośrodku -- i biała piłka podrzucana moją rakieta na wybrzeżu Ta- orminy, popędzana radością wspomnienia, wzbija się tak wysoko, jakby sprostać miała pierwszemu słońcu, które mnie powitało u portowej grobli Palermo.

Tak, to było najpierw. Swit srebrzył niebo u samej podstawy, tam gdzie ono stykało się z morzem. Na perłowych wodach kładły się opałowe plamy, z początku oddzielnie, później zaczęły się wzajemnie szukać, zbierać, zlewać. Ciemne i fioletowe pręgi, które tu i ówdzie roz- mierzały obszar morza na zacienione pola, znikwały. Krańce widnokregu żółkły i połyskiwały jak opiłki bursztynu. Pierwsze promienie wschodu ZTÓzowiły wodę i niebo. Gdy zaś całą przestrzeń okrył szkarłat, otwarły się bramy dnia i na próg sklepienia wjechał majestat Heliosa. Z boskiego łuku leciały pęki złotych strzał, ścigając niedobitki mroku, które w popłochu porzucały skradziony morzu lazur, a niebu błękit. Powietrze stało się czyste jak diament.

Nie było wątpliwości: dobijaliśmy do Wyspy Słońca. „Dalej -- mówiła przecież Kirke -- trafisz na ostrów Trynakię. Tam na łące pasą się stada Heliosa. Czuwają nad nimi dwie nimfy: Lampecja i Faetuzia." Panna Błyszcząca i panna Świetlista odprowadziły właśnie do obór boskie trzody i widać jeszcze po niebie białe motki wełny, co zatrzymały się w biegu pośród krzewów gwiazd.

Odtąd słońce już mnie nie opuszczało. Nie czuję we wspomnieniach ani jednej kropli deszczu. Wszystko jest suche i szeleszczące upałem jak skrzydła koników polnych. Bo też piłem wówczas słońce bez umiarkowania, jakbym chciał z siebie całą Północ wypocić. Zdarzały się go-

dżiny, kiedy czułem, jak ono -- złote i płynne -- krąży we mnie zamiast myśli. Oczywiście, jeden miesiąc nic tu nie znaczy i chłodny cień znowu powrócił na dawne miejsce w mojej duszy. Lecz gdybym miał do rozporządzenia sto lat, spełniłoby się we mnie to, co dokonało się w rycerzach normandzkich, którzy łabędzią drogą nadciągnęli ku Sycylii w XI wieku.

Pancerze, hełmy, nagolenice -- stal mocna i błyszcząca, co tak ściśle przylegała do ciała jak naturalne łuski rozwijające się razem ze wzrostem całego organizmu, zaczęła im ciążyć i wrychle nikt już nie mógł jej udźwignąć. Wikingowie przebrali się w jedwabie, brokaty, aksamity, a nawet nogi* te wielkie, twarde stopy, które wycisnęły tak głębokie ślady na wszystkich drogach południowej Italii -- nawet one zmieściły się, ulgnęły w safianowych pantoflach wytłaczanych złotem. Płuca zapomniały zapachu borów sosnowych i z osobliwą łatwością połyły się słodką, leniwą ambrą. Zmieniły się i oczy, i ręce. Dawne bła- doniebieskie oczy Normanów, spokojne i czyste, nabrały dziwnych połysków: jakby w nich osadzono drobne pryzmaty, które każdy promień załamywały w tęczę. Cały świat przedstawiał im się wówczas niby ogromna mozaika ułożona z kolorowych szkielek. Jeszcze do dziś zachowało się coś niecoś z tej prześlicznej wizji na złotych ścianach Cappella Palatina i katedry w Monreale.

A ręce -- ręce doznały również swojej przemiany. Zdjęto z nich żelazne rękawice i oswobodzone dłonie splotły się z dłońmi podbitych Saracenów tak pewnie i wiernie, jakby się te uściski od dawna szukały. Okazało się wtedy, że zarówno saraceńskie, jak normandzkie ręce ulegają wspólnym czarom. Były zaczarowane rozkoszą dotyku. Była w nich dziecinna radość chwytania, ujmowania przedmiotów. Każdy kształt, jakby dopiero teraz poznany, stawał się pieszczotą, którą się chciało przedłużyć na wieczność. Dlatego wykuwano go w kamieniu i do dziś chiostro w Monreale kwitnie nieprzebraną obfitością kształtów. Są one wszystkie trochę niewprawne, za małe lub za wielkie, zbyt szorstkie lub zanadto wygładzone, jakby istotnie oddawały uczucie dłoni dziecka, które jeszcze nie opanowało wszystkich tajemnic bryły i przestrzeni.

Słońce zatem prowadziło mnie od miasta do miasta. Jeśli zaś zdarzyła się chwila postoju w podróży, jakim jest rozkoszna, pełna znużenia cisza, kiedy oczy nie widzą na razie nic nowego, a myśl zaczyna się powoli przesiewać przez wszystkie rzeczy doznane -- to taka chwila była zawsze podobna do snu popołudniowego, nakrytego cieniem z jasnymi pręgami światła. Powieki nigdy nie umiały zamknąć się dość szczelnie, żeby nie wbiegło przez nie parę marzeń. Wtedy widziałem, jak ku Sycylii ciągną królowie. Płynęli na czarnych galerach pod purpurowymi żaglami, niesiono ich w lektykach, których fiołkowe zasłony trzepotały na wietrze, jechali w złocistych karetach, a ci z najdalszych stron, jak w bajce Perraulta, na słońsiach, wielbłądach, gryfach i orłach. Szła

za nimi oczywiście śmierć -- wiedziało się o tym, chociaż nie można było dokładnie wskazać, jakie miejsce zajmuje w orszaku. Była zawsze tak prędką i nieobliczalną, że zanim zdążyło się pochwycić jej ruch, widziało się już tylko świątynię, pałac, katedrę lub grobowiec z porfiru tam, gdzie jeszcze przed chwilą było inaczej. Zawsze jednak coś zostawało, bodaj drobny ślad minionego pochodu, ślad, który zresztą mógł później zupełnie co innego wyrażać. Kolumny świątyni Minerwy wystąpiły jak grube żyły na białe ciało syrakuzkańskiej katedry, a nad otwartym greckim sarkofagiem, z którego wyjęto prochy zmarłych, chrzczono dzieci w Girgenti.

Pomimo nacisku owych tłumnych obrazów, otwierało się przed myślą zawsze tyle wolnej przestrzeni, aby pośród zamków, wież, bastionów, poza ciżbą wojowników i zgiełkiem broni, dojrzeć dalekie pola szumiące zbożem. Powracało to jak refren dożynkowej pieśni. Zanim jeszcze rozbrzmiało, już ku sercu napływała fala radosnej tęsknoty. Niosła z sobą zapach łąk Enny, na których Persefona zbierała kwiaty, polatała na skrzydłach gołębi trzepoczących się nad górą Eryks, toczyła się na świetlistych kółkach sycylijskich pieniążków, pełnych kłosów zboża, delfinów i głów kobiecych niewysłowionej piękności.

Zanim Grecy trwale osiedli na Sycylii, zanim ją ukształtowali na swój dom, z podcieniami i ogrodem, nazywali ją chętnie Wyspą Słońca. Było go tu nawet więcej niż w ich własnej ojczyźnie. Palmy i drzewa świętojańskie rosną tu tak, jakby nie istniał ów przesmyk morza, który je dzieli od Afryki. Wszystko tu było jakby cięższe, bardziej dojrzałe. Umysł grecki z pewnym wysiłkiem zachowywał w tym psennym kraju swą wypróbowaną równowagę. Opowiadają, że Falarys zamykał ludzi w rozżarzonym wnętrzu miedzianego byka. Gdyby rzecz nie zdarzyła się w czasie, na który patrzyła już świadoma historia, można by ją wprost uważać za szczątek solarnego mitu, na przykład i-- za wyobrażenie sierpniowych upałów. Ale okrucieństwo tak przepelnia dzieje sycylijskich tyranii, że w jego objawach widać gwałtowne natężenie z natury spokojnych, uśpionych nerwów greckich.

Geniusz grecki w tym płonącym trójkącie zawahał się na granicy barbarzyństwa. Nawet mądra architektura dorycka wymknęła się ze swych rozważnych zasad. Było to tak, jakby ktoś przesadził palmę z Delos, pod którą urodził się Apollon. Wolna kochanka wiatrów -- smukłe dziewczęce drzewo, nie umiejące rodzić owoców, nabrzmiało od razu obfitością wielokrotnych plonów. W Akragas stanęła świątynia niespotykanych w greckim świecie rozmiarów. Kolumny przeszły wysoko ponad horyzont zwykłych proporcji i rozszerzyły swój obwód do tego stopnia, że w zagłębieniu kanelury mógł się zmieścić człowiek. W oszołamiający sposób naruszono równowagę owego V wieku, który po tamtej stronie Jońskiego Morza z takim zaufaniem wsparł się na kolumnach Partenonu. Zuchwała budowla wymagała silniejszych pod

pór i oprócz potężnych słupów otoczono ją zastępem kamiennych olbrzymów.

Z tego gmachu, doprawdy, niewiele już zostało: kilka bębnow, które są tak wielkie i ciężkie, że wrosły w ziemię, okrywając się od spodu zieloną pleśnią, i jeden z owych atlantów, pogruchotany, z rozmiążdżoną głową, niby olbrzym na pobojowisku Gigantomachii -- ogromne, rozćwiartowane cielsko kamienne, pod zachód opływające w zorzach jak we krwi. Ale jest na tym polu trochę drzew i dokoła nich skupia się nieco cienia. Zbity w sobie, jakby spłoszony cień, nie znajdując dla siebie miejsca na płaskiej równinie ruin, wśród kruchych wapniaków, przysiadł u wątlých pni cytryn, cichy i niespokojny, i drży za każdym tchnieniem niedalekiego afrykańskiego morza. Moje znużenie zawarło z nim natychmiast przymierze. Leżałem bez ruchu na otwartej, ocienionej ziemi, a moje omdlałe myśli pomieszały się z szelestem tego niepewnego mroku.

Płowa równina naokół gorzała pełnym słońcem. Widziało się lekkie drganie powietrza, prawie tak wyraźne jak drganie gałązek, gdy się pomiędzy nimi snuje dym przejrzysty. Miałem wrażenie, że jednak coś tam się rusza, że owo przebieganie cząsteczek powietrza nie da się objaśnić wyczerpaniem oczu, które już nie mogą podolać białemu blaskowi. Ale byłem zbyt leniwy, aby to zaraz sprawdzić. Pozwoliłem temu tam dziać się powoli. W takich momentach czas jest na tyle uprzejmy, że nas opuszcza. I odbywało się „to tam” z niezwykłą rozważą, jak starannie przygotowane doświadczenie fizykalne, w ścisłym obliczeniu wszystkich składników. Owe lekkie drgania skupiły się na pewnym określonym odcinku przestrzeni, zwały się, zebrały ciaśniej i stawały się coraz szybsze. Już nie były bezbarwne, ale czerwone i złote. Gwałtowne migotanie szkarłatu i złota okazało się zbyt ciężką próbą dla oczu. Przymknąłem je jak mi się zdaje, na chwilę. Kiedy je znów otworzyłem, uznałem za stosowne natychmiast opuścić powieki. Tym razem na dłużej. Lecz musiałem je w końcu podnieść. Patrzyłem świeżą, szeroką źrenicą.

Stał wciąż jeszcze w tym samym miejscu, jakby wybaczał mojemu tchórzostwu. Był cały szkarłatny od długiej purpury, opadającej do kostek. Na głowie miał złoty wieniec. Za jego plecami, w głębi gorącego pejzażu, wznosiła się Etna, ciemna u spodu i biała u szczytu. Powinienem ją być poniechać, bo ta jedna sekunda, w której skierowałem uwagę na dekorację, pozbawiła mnie jego wzroku. Odczułem już tylko na rzęsach ciemną smugę znikającego spojrzenia. Nie mogłem go zatrzymać. Zresztą nie uczyniłbym tego, gdybym nawet mógł. Ugiąłem swoją wolę, ujarzmiłem ją, aby najmniejszym odruchem nie powściągnęła smutnego widma. Pamiętałem bowiem słowa, które on wypowiedział przed dwudziestu czterema wiekami: „Płakałem i jęczałem, gdym zobaczył obcą mi ziemię... Z jakich szczytów, z jakich wysokości szczęś

cia spadłem, aby opuściwszy dom Dzeusa wędrować między śmiertelnymi!" Moje myśli tylko wołały za nim i on powstawał w nich tym przymglonym obrazem, jakim jawi się odległa przeszłość, którą znamy z ksiązek.

Był w istocie taki, jakim go przed chwilą widziałem: rosłym mężczyzną o twarzy pięknej, zawsze nieco surowej, której naturalną szlachetność podnosiły długie, czarne włosy, prawdziwie „olimpijskie kędziory”. Żył w nim wspaniała rasa Metonów i Empedoklesów z Akragas, przewodców ludu, zwycięzców panhelleńskich, właścicieli sławnych stadnin. Nosił purpurę, włosy opasywał białą wstążką jak wieszcz lub kapłan, nadto wkładał apolliński wieniec laurowy ze złota. Miał tów- nież koronę, prawdziwą koronę królewską, którą mu miasto ofiarowało i którą odrzucił, aby ją zachować na zawsze czystą i nie splamioną krwią. Ale szczególnie ciekawe było obuwie. Ta część stroju pochodziła wprost z inwentarza młodego naówczas teatru greckiego. Były to koturny z pozłacanego brązu. Zmuszały do powolnego, uroczystego kroku. Nie wkładał ich dla dodania sobie wzrostu – to pewne. Mogły dlań wyobrażać ciężar ziemskiej wędrówki, na którą się tak często uskarżał.

U Greków nie wywoływało zgorszenia, że ktoś poświęcający się pracy myśli jest dumny ze swej powierzchowności. Czasy Empedoklesa nie wymagały od tych, co uprawiali filozofię lub badania naukowe, ani schorowanego ciała, ani zaniedbania w ubiorze. Wiedza, nie mając jeszcze laboratoriów, bibliotek i pracowni, powstawała na wolnym powietrzu, w tej atmosferze nieskrepowanej przestrzeni, w której my dziś ją widzimy przez soczewkę naszej tęsknoty: u skraju wielkich dróg, pod cieniem wiązków, pod kolumnadami portyków, w gajach i ogrodach. Można jej było służyć niejako wędrownie, przechodząc z miasta do miasta, prawie bez bagażu, bo te kilka zwojów papirusu, które z takich lub innych powodów uważało się za niezbędne, mieściły się z łatwością w tłumoku zawieszonym na końcu długiej, zakrzywionej laski podróźnej. Szukało się po świecie mistrzów, aby wprost od nich, w zaufanym wykładzie lub w swobodnej dyskusji, odbierać to, co oni sami ze sobą przemyśleli albo przejęli od swoich poprzedników.

Empedokles zwędrował w młodości Włochy południowe, krążąc wśród osiedli myśli pitagorejskiej i eleackiej. Wcześniej się jednak z tym uporał i wrócił do Akragas. Miasto żyło wówczas w nieznanym błogostanie. Dzieci grzebały w piasku srebrnymi łopatkami. Po sztucznym jeziorze pływały łodzie pod jedwabnym żaglem. Obecność szkarłatnego filozofa nie tylko nie ploszyła radości z dosytności, ale poniekąd ją uświęcała. „Mieszkańcy Akragas – mówił – używają uciech, jakby jutro mieli umrzeć, a budują domy, jakby mieli żyć wiecznie.” Było to powiedziane mimochodem, niby ze szczytu akropolu, kiedy wzrok z przyjemnością rozbiegał się po wysoko zabudowanych ulicach.

Empedokles nie okazywał zbyt wyraźnej pogardy swoim współczesnym. Jego pogarda była raczej metafizyczna, obejmowała całą ziemię i cały byt ludzki, była więc zanadto ogólna i obszerna, aby ją mogło odczuć jedno miasto, choćby tak wielkie jak Akragas. Nie doznawało się niepokoju, gdy mówił, i ludzie oddawali mu się z pogodnym zaufaniem, jak domowemu bóstwu.

Przekonanie o jego boskości było dość powszechne, pomimo że wiedziało się o nim wszystko aż do najdalszych pradziadów. U Greków można było stać się prorokiem we własnej ojczyźnie. Empedokles sam wspomina o tej czci. „Chodzę między wami jak nieśmiertelny bóg.” Ma się nawet wrażenie, że się tym trochę chełpił. Pojawienie się jego na ulicy było zawsze połączone ze zbiegowiskiem. Miał coś w rodzaju stałego orszaku. Domownicy, uczniowie, wielbiciel witali go, gdy wychodził z domu, i odprowadzali, gdy wracał. Po drodze przyłączali się inni i gromada rosła, tym bardziej że w szczęśliwym Akragas było wielu ludzi nie zmuszonych do pracy.

Empedokles był filozofem. Znaczyło to wtedy więcej niż dziś. Nieomal każdy z tych, których tak nazywano, hodował w sobie zarodki wszystkich naszych umiejętności. Wypowiadał się w rzeczach etyki, polityki, przyrodoznawstwa, muzyki, poezji, wymowy, historii, matematyki. Zdziwiłby się, gdyby mu wskazano, że nie ma do tego prawa. Atoli podobne zdziwienie było mu oszczędzone, gdyż nie znano specjalistów. Jeśli rozkroić jakikolwiek z owych wczesnych systemów, wypada z niego, niby z dojrzałego owocu, mnóstwo ziaren i każde z nich wydaje się dość silne, żeby mogło dojrzeć w odpowiednich warunkach. Często musiały to być już całkowite kłosa, które zniszczenie wieków rozartowało niepowrotnie. Empedoklesa dzieło o przyrodzie, w swej dzisiejszej formie, jest bardzo podobne do ruin świątyni Dzeusa w jego ojczystym Akragas, dzisiejszym Girgenti. Można jeszcze odmierzyć plan i pozostało nieco fragmentów, zupełnie ze sobą nie związanych. Był to poemat w trzech księgach o tajemnicy wszechrzeczy. Była to poezja myśli, wyrażona wierszem Homera.

Ale praca filozofa nie wystarczała jego wielostronnej duszy. Pisał pieśni liryczne, tragedie i eposy historyczne. Był przywódcą stronnictwa ludowego i przez pewien czas rządził miastem. Był wróżbitą i lekarzem, cudotwórcą i magiem. Dokonywał jakichś robót inżynierskich i jak mówiono: rozkazywał wiatrom i deszczom. Legenda szła za nim, bo ją sam ku sobie wołał. „Byłem już raz chłopcem, dziewczynką, krzakiem, ptakiem i niemą rybą w morzu.” Nie widziano w tym właściwie trudności. Jedyne pamięć tych rzeczy była zdarzeniem wyjątkowym. Rozpoznanie minionych żywotów wymagało prawdziwie boskiej świadomości.

Empedokles umierał jak bóg w kilku miejscach, wśród różnych okoliczności. Pokazywano jego grób w Megarze nad Morzem Egejskim,

a w okolicach Etny sądzono, że wskoczył do krateru, albowiem w strumieniu lawy znalazł się jeden z jego sandałów. Lecz tylko w Akragas odbyła się ta śmierć, zgodnie z jego własnymi przekonaniem. Przyszła w nocy, jak posłanka bogów, wzywając do powrotu.

Bawił w tyra dniu w willi podmiejskiej niejakiego Pizjanaksa. Grono przyjaciół zebrało się dla złożenia wspólnej dziękczynnej ofiary. Po nabożeństwie nastąpiła uczta, która przeciągnęła się do wieczora. Noc była tak ciepła i pogodna, że nikt nie myślał wracać do domu. Całe towarzystwo ułożyło się do snu pod drzewami, na murawie, gdzie kto miał ochotę. Empedokles trochę dłużej od innych siedział przy stole, ale i on, jak się zdawało, odszedł w końcu na spoczynek. Nazajutrz jednak nie podobna go było znaleźć. Nie było go ani w domu, ani w ogrodzie i nie widziano, żeby odjeżdżał. Jego konie spokojnie skubały ranną paszę. Dopiero kiedy rozpytywano niewolników, jeden z nich opowiedział, że około północy posłyszał jakiś głos. Gdy się na dobre rozbudził, zrozumiał wołanie. Nie wiedział, kto wołał, ale słyszał kilkakrotnie powtórzone: „Empedokles! Empedokles 1° – tak gromko, że wszyscy powinni byli to słyszeć. Po czym uczyniła się znów cisza i pojawiło się nieziemskie światło, rzekłbyś: księżyc wstąpił na pola. Potem i ono zgasło i wśród nocy, która teraz wydawała się jeszcze bardziej czarna i głucha, dojrzał samotną pochodnię idącą przez powietrze, jakby ją ktoś niósł i oświecał komuś drogę w ciemności.

To wszystko działo się kiedyś w luźnych granicach żółtego pustkowia, na które z takim zdumieniem spogląda dzisiejsze Girgenti, uwieszone dokoła starożytnej akropolii. Jak w wielu miejscach Grecji, doznałem i tu wrażenia: że z każdego załomu gruntu, z rowu zarosłego chwastami, spośród triasowych muszli wyrzynających się w wapiennej skale na kształt przymkniętych powiek, spod sztywnych źdźbeł trawy – patrz na mnie miliardy oczu. Bo może i po rozkładzie ciała, poza pustymi oczodołami, zostaje coś, co i za życia wydawało się niematerialne, ów subtelny pyłek obrazów, które nigdy całkowicie nie wnikały pod rogówkę. Te niewygasłe spojrzenia odczuwa się szczególnie uparcie tam, gdzie jeszcze przesuwa się cień wielkiego, zmierzłego życia. Idzie on polami porastającymi zagrzebane miasta, ponad wzgórza wzdęte jak mogiły, krąży brzegiem wykutych w kamieniu teatrów, wnika pomiędzy kolumny świątyń i w znieruchomionym powietrzu południa tworzy dreszczem przejmującą złudę, jakby to wszystko, czego już nie ma, dopiero teraz przemijało.

„Jest niemożliwe i niesłychane, by to, co jest, zginęło. Będzie ono zawsze tam, gdzie je ktoś postawi.” Zdaje się, że Empedokles mówił prawdę i że pola Girgenti nie są puste, a widząc je takimi ulegamy fatalnej omyłce zmysłów. Nasza dusza dla rozpoznawania utajonej rzeczywistości ma więcej środków, niżli je określić lub nazwać umiemy, | w tych otchłaniach minionego czuje się w otoczeniu żywych mirażów.

Z zupełnej ciszy podchwytuje stłumiony szmer tego, co się cofa, i w obrębie białego horyzontu dostrzega zarysy niknących światów.

„Będzie ono zawsze tam, gdzie je ktoś postawi.” Będzie ono jak świątynia w Segeście, zakrzepla na przełęczy dwóch czasów, które się rozeszły, zanim jeszcze mogły się spotkać.

Świątynia w Segeście jest najbardziej osamotnionym pomnikiem starożytności. Zachowała się prawie nietknięta. Trzydzieści sześć kolumn podtrzymuje szczątki dachu z taką pewnością, że idzie się do niej z daleka jak do nierealnej zjawy. Wnętrze jest puste. Wiatr zaścielił je trawą i stokrotkami. Mimo to widać żywą skałę, której nie wyrównano, aby ułożyć płyty podłogi. Kilku kolumn nie zdołano dokładnie obciosać. Ustawiano je właśnie, gdy nagle do bramy zastukał los i poniosło owych ludzi daleko od wszystkich kolumn i od wszystkich świątyń. Nie dokończona praca stoi tu i czeka. Gąbczasty wapieniak próchnieje powoli i pokrywa się brunatną rdzą zamiast stiuku, którym go miano osłonić przed dwudziestu czterema wiekami.

Samotną, skamieniałą w swym niedomówieniu myśl ludzką otacza noc ogromna. Wiatr, co dzwoni w jej murach, nie może jej przynieść dźwięku ani jednej kolumny, której głos byłby echem jej własnej pamięci. Ona tylko trwa, pośród nagich i chłodnych gór, zieloną wodą głębokiego jaru -- trwa jak stłumiony okrzyk życia, nad którym nagle zasklepiły się fale czasu.

Ale wnet zagłuszył go warkot samochodu i to wszystko, co jeszcze mogło być powiedziane między mną a świątynią na wzgórzu, rozprysnęło się w szybkich zaskokach uciekającego pejzażu. Przyjęło mnie wieczorne Palermo, ciepłe, prawie domowe, pachnące koszami pomarańcz, niezbyt jasne i niezbyt ciemne, szemrzące dobrotliwym gwarem. Nazajutrz wysnuło z siebie nowy dzień, pogodny i łatwy. Jak zawsze, obwieściły go dzwonki kóz biegnących po ulicach, z wymionami pełnymi rannego mleka. Wszystko się już w tym mieście pogodziło od dawna. Starożytność ma swoje miejsce w muzeum, królowie leżą w twardej, dobrze zamkniętych grobowcach, słońce przebiega zarówno po normandzkich blankach, jak i po saraceńskich kępułach, które nie pamiętają swych meczetów. Zeszło się to razem, zlało, zmieszało jak krew owych kilkunastu ras, co przez dziesiątki stuleci, w wojnie i miłości, tworzyły osobliwy naród sycylijski.

I znów chodziłem pod kościołami i pałacami, bez omyłki, jak wśród bliskich znajomych, z błogosławieństwem wielkiego krzyża dwóch głównych ulic, które miasto w samym środku rozdzielają. Wszystko tu było szczerze i otwarte jak młoda via delia Libertó, obsiana rzadkimi, Jeszcze nie wyrosłymi drzewami, przestronna, długa, śmigła, nie zaczepiona o żadną pamiątkę, nie znająca kresu, gotowa każdej chwili dościsnąć nawet góry spłomienione jaskrawym południem. Rzekłbyś: leci oto sama przyszłość prastarego kraju nad zgrzytliwym hejnałem

gwizdów okrętowych i syren fabrycznych -- ponad sędziwe zamki, w samo serce spleśniałych miasteczek, przez odlegie pola, sennie osiadłe na grobach.

Ale pewnego dnia pociąg, który tak zuchwale roztrącał gaje cytrynowe, aż spłoszone gałęzie biły w okna wagonu, milcząco wsunął się pod niski dach syrakuzkańskiego dworca. Było na wpół ciemno jak od kopających lamp. W niedalekim porcie morze pluskało między rozkołysanymi statkami. Dorożka przebrnęła kilka ulic o zaspanym spojrzeniu nie domkniętych winiarni.

Syrakuzy są małym miastem. Na świecie jest tyle małych miast, iż nie byłoby w tym nic osobliwego, gdyby się nie pamiętało, że kiedyś były one bardzo wielkie. Z ogromnej stolicy Gelonów, Hieronów, Dionizjuszów została najszczuplejsza dzielnica, drobna „wyspa przepiórek”, Ortygia. Wszystko tu jest dosyć małe, ale nic nie jest zbędne. W starych miastach, choćby doszczętnie zbutwiały, zawsze jeszcze brak wielu rzeczy. Czuje się, że powinny być i tworzyć bardziej wyraźne przejścia. Pustki, które po nich zostały, wypełnia niedojrzała rzeczywistość, ciągnąca się po ulicach i domach jak plazma.

Ze starożytności ocalało trochę ruin i dwie bajki. Ruiny wietrzeją na polach, a bajki płyną żywą wodą. Jedna z nich jest w samym mieście. Za żelaznym ogrodzeniem cichą sadzawkę porasta kępa papirusów, wśród których pływają kaczki. Z dwóch grot podziemnych tryskają jasne, błękitne strumienie. To Alfejos i Aretuza. Alfejos był bogiem owej rzeki, co biegnie przez równinę Olimpii, Aretuza zaś nimfą, towarzyszką Artemidy. Alfejos kochał Aretuzę, która przychodziła kąpać się w jego wodach. W najbardziej upalne dni lata, kiedy nawet źródła w górach zasypiały, podpływał na jej spotkanie chłodną, obfitą strugą. Spragnionym zwierzętom spod pysków umykał, najdrobniejsze włókienka ściągał spośród żwirowisk, nieomal kroplę do kropli ciułał, aby oszczędzić wodę na kąpiel swej nimfy. Aretuza nic o tym nie wiedziała. W dziewiczym społeczeństwie Artemidy nie wolno było myśleć o miłości. Aż raz -- ach! oczy rękoma przesłoniła, nagia ciało zakryła włosami -- wyszedł ku niej sam bóg rzeczny, Alfejos, o długiej wilgotnej brodzie, z rogami byka nad czołem. Ledwo krokiem ruszył, już się porwała i uciekła. Uciekała przez całą równinę Elidy, przez krzaki kolczaste, po kamienistych drogach, po zoranych polach. Alfejos ją gonił. Słyszała za sobą szum wód. Niebo zmętniało. Rozlegał się daleki huk gromów. Pod wiatrem drzewa gięły się do ziemi. Nogi mdlały czując dotknięcie nadbiegającej wody. Wezbrane ramiona szalonego boga zaczęły ją okręgać. Długie, szybkie, płynne palce przesunęły się już dokoła jej bioder. Wybuchła w niej nagła jak piorun modlitwa. Była to jedna chwila gwałtownego uniesienia i zgrozy, tak zwarte, tak potężne zaklęcie niebios, że na zachwianym Olimpie ocknął się Dzeus i wejrzał w ten mały skrawek ziemi,

skąd cicha dusza nimfy z taką nieodpartą mocą go wołała. Pod naciskiem wszechwładnych oczu boskich ciało Aretuzy rozwiązało się i spłynęło w dół cieniutkim potokiem. Chybkim jak błyskawica zawrotem mała strużka wody wyminęła rozlane fale Alfejosa, ukryła się pod ziemią, przebiegła morze i już swobodna wytrysła na syrakuzo- skiej wyspie. Lecz Alfejos odbył tę samą drogę i doścignął swą kochankę tam, skąd już nie było ucieczki.

Druga bajka jest za miastem. Trzeba wziąć łódź i przepłynąć zatokę, która dzisiejsze Syrakuzy oddziela od sycylijskiego ładu. Po półgodzinnym wiosłowaniu wjeżdża się w koryto rzeki.
...Inter Sicelldas Cyane celeberrima nymphas...

Jak kwiat odrywa się z pamięci wiersz Owidiusza. Jego płatki spadają na powieki i przez chwilę widać bladożółte ściany sali szkolnej, profesora na katedrze i otwartą książkę na ławce. I widać jeszcze dwie małe chłopięce łzy, które odznaczyły początek i koniec opowiadania. W tym dniu Pluton porwał Prozerpinę. Jedna Cyane zastąpiła mu drogę. Otworzyła białe, cieniutkie ramiona i nie puszczała... Ale król piekieł uderzył ją batem i nimfa zamieniła się w źródło. Przyszła potem Demeter szukająca dziecka. Cyane mówiła jej o porwaniu, pokazywała miejsce, gdzie zapadł wóz płomienny, lecz głos jej był jak szum sitowia nad wodą.

Rzekę, po której płyniemy, po dawnemu nazywają: Ciani. Coraz węższa, wygina się kapryśnymi skrętami, mijając zieloną równinę. W niewielkiej głębi odsłania się piaszczyste dno z warkoczami wodorostów. Na skraju łożyska rosną topole. Gałęzie przechylają się nisko i wraz ze swoim odbiciem obejmują tę wodną samotnię w ciszę łagodnego, zielonego światła. Ruchliwe listowie drży szeptem niewysłowio- nego spokoju. Pogoda, zagładająca przez konary, zapach macierzanki z pól, słodycz powolnego ruchu, ciepło słonecznego południa tworzą atmosferę szczęścia.

Pojawiają się papirusy. Z początku oddzielne kępy, potem coraz gęstsze, na koniec tłoczą się zbitą ciżbą po obu brzegach. W niektórych miejscach rozpostarliży ręce można dłonie położyć na dwóch przeciwległych czubach. Obracam w palcach wyrwaną lodygę. Długa na parę metrów, mocna, gruba, o połyskliwym, zielonym naskórku, naga zupełnie, jeno u szczytu nakryta baldachem delikatnych, opadających kłosek. Odcinam kawałek i ukazuje się wnętrze – biały rdzeń gąbczasty, który daje się krajać w cienkie paski. Najistotniejsze natchnienia ludzkości przechowywano we włóknach tej cudownej trawy. Z jej

„Cyane wśród sycylijskich najstynniejsza nimf...”

wątlých ścięgien uczyniono trwałe skrzydła, na których myśl starożytna przeleciała przez pogorzelnisko wieków.

Grzywki zielonych włosków poruszają się za każdym powiewem z ledwo pochwytym chrzęstem. Idzie przez nie światło ciche i dobre jak sen.

Nazajutrz jechałem do Taorminy. Droga ani na chwilę nie oddala się od morza i od portu Augusta zatacza łuk ogromny biegnąc równo po obwodzie zatoki. Widać dziwne pustkowia, białe i nagie -- saliny. W wielkich piaszczystych basenach zbierają wodę morską, która, parując na słońcu, zostawia osad solny. Pólnadzy ludzie zgarniają słony proch i grube, błyszczące kryształy, przerzucają szuflami jak kamienie i usypują z nich śnieżne stożki. Podbiegają małe wózki i odnoszą sól morską, zmieszaną z iłem, do wiatraków, gdzie się ją miele i oczyszcza.

Minąwszy stare Leontinoj, skąd wyszedł sofista Gorgiasz, pociąg przesuwają się bokiem rozległego jeziora, które szeroko rozlewa się w moczary. I wnet zaczyna się piana di Catania, mityczne pole Lestry- gońskie, Cyceronowa uberrima SicUiae pars, równina bujna, urodzajna, ślicznie uprawna. Zielone smugi ciągną się między ciemnymi alejami cyprysów, lasy cytrynowe, tak gęste, że nie widać pod nimi ziemi, rozsypują złote owoce, dokoła tak pełno drzew i krzaków, że przez chwilę w wąwozie pofiąg jakby z trudem przeciska się przez ich stłoczoną ciżbę, a długie, giętkie wici biją po szybach.

Otwiera się wreszcie wolna przestrzeń, pod Aci Castello widać osobliwe skały, o których mówi podanie, że są to owe głazy, jakimi oślepił i wściekły Polifem ciskał za uciekającym Odysem. I tu, jak podobne urwiska na Capri, nazywają się Faraglioni, ale te są bardziej groźne, zwłaszcza jeden, z czarnego bazaltu łamiącego się w słupy.

Taormina siedzi na szczycie spadzistej góry. Z dworca, oddalonego o parę kilometrów, prowadzi ku miastu długi i pokrętny gościniec. Jak wiele miast włoskich, przypomina ono swą budową lancetnika. Ta najmniejsza rybka ma wzdłuż ciała wyraźną prostą pręgę, stos pacierzowy, i takim stosem pacierzowym jest dla Taorminy Corso, które rozgałęzia się, niby siecią nerwów, w obie strony biegnącymi ciasnymi uliczkami, którymi wóz nie przejedzie. Idą one zgodnie z każdą nierównością gruntu, w górę i w dół, nakrywając się sklepieniami, zapadając w otchłiska rozwalonych domów i nigdy nie uprzątanych śmietników, pod nieśmiertelnymi sznurami suszącej się bielizny.

Oazą spokoju, ciszy i niczym nie przyćmionego piękna są ruiny teatru. On jeden świadczy o życiu starożytnego Tauromenium. Był pierwotnie grecki, lecz rzymskie odnowienia zatarły dawną budowę. Olbrzymie ściany z bladoczerwonej cegły, przeciwne marmurowym upodobaniom greckim, dają przytułek kilku kolumnom. Ile tam było niegdyś pilastrów i bloków marmurowych, to wszystko poszło na upiększenie pałacu magnatów sycylijskich, książąt di San Stefano. Zostały

wyszczerbione mury, a w nich przetrwała część widowni z kamienną podłogą sceny. Gmach, rozwalony i odarty z całej swej okazałości, zachował jednak duszę -- nieporównaną akustykę, która i dziś, jak przed wiekami, pozwala słyszeć w najdalszych rzędach każde słowo wypowiedziane w dole, gdzie stali aktorzy.

Stopnie siedzeń zarosły trawą, z każdej szczeliny tryskają kwiaty. Pod zachód słońca wielki krajobraz mieni się dziwnymi refleksami światła, wzrokiem można dosięgnąć brzegów Kalabrii i Jońskiego Morza. Lecz przykuwa go z największą mocą Etna, pani tej części śródziemnomorskiego świata. Z krateru, wyrzynającego się z wieczystych śniegów, bije pióropusz białego dymu i spływa gęstą chmurą w dół po głębokich jarach, werżniętych między lodowce. Zima, wygnana z Wyspy Słońca, ma tutaj swą niedostępną podniebną stolicę.

DOM NAD WINNICĄ

Z terasy mojego domu po raz ostatni patrzę, jak wschód szkarłatnymi nićmi haftuje ciemnobłękitny atlas morza. Przeciwniegi Neapol przesłaniają ulotne tumany, nad którymi bieli się i połyska złotem pierwszych promieni słońca dym Wezuwiusza. Obłoki przejrzyste -- nieuchwytnie, nikiące napowietrzne pławaczki -- podbierają z każdego mojego spojrzenia tęsknotę za każdym z tych poranków i wieczorów, co już odeszły w daleką drogę dni minionych.

Widzę to morze, wiecznie rozmaite. We mgle dżdżu szaroniebieskie, obwiedzione prawie czarnym granatem wydłużonego łęku Zatoki Neapolitańskiej -- pod zachód pogodny, gdym na nie patrzył z głębi skalnego uroczyska, błyszczące polerowaną miedzią, jakby z dna wychynęły nad samą powierzchnią kopuły zatopionych kościołów -- w złotym pyłe ostatnich zórz rozesłane nieprzemierzonym szlakiem bajki, kędy w ciszy doskonałej żeglują okręty-widma -- tajemnicze, gdy zdarzy się ów nieobjaśniony fenomen: chmury gęste i czarne odtwarzają na wysokim niebie do złudzenia dokładne zarysy leżącej pod nimi wyspy, niby odbite w ogromnym, jak świat, zwierciadle.

Szukam po zmarszczkach morskich tej drogi, którą niezadługo odpłynę, tej samej, która z neapolitańskiego portu odniosła mnie do tutejszej przystani. W purpurze nadchodzącego wieczoru widziałem wówczas zbliżającą się wyspę jak położony na grzbiecie bazaltowy posąg egipski, olbrzymi, nieporuszony, wrosły w głębinę ciężarem i tysiącami lat bezwładu. Woda nieprzerwanym podpluskim, niby przesuwaniem rzeźbiarskiego dłuta, wyczelowała ten złom kamienny w kształty jedyne, które pamięta się od tej pierwszej chwili, kiedy się je odkryje z wysokości neapolitańskiego Posilippo. Zabieglawe fale przemysłnymi bryzgami wyżłobiły na stromych skałach jakieś twarze surowe,

wpojone pustymi oczodołami w pozaświatową dalekość, a wiry i prądowiny wymyły, wypłukały chwałę Capri -- jej groty wielobarwne.

Spomiędzy wyrw i postrzępionych skalisk patrzą one wszystkie ku morzu. W trzygodzinnym objeździe statek odmierza cały obwód wyspy, przystając u jej grot niby w portach swej fantastycznej żeglugi. W „czerwonej” grocie światło przechodzi w krwawy półmrok, odbite od rdzawych wodorostów. „Smaragdowa”, rozbudowana jak sklepienie gotyckie, otwiera się na przestrzał wielkimi łukami i od dookólnych zielenic bierze swe dziwne światło, które na palecie jej żółtych ścian miesza się w błękitne odcienie. „Biała”, obwieszona stalaktytami, ma nad sobą grootę „cudowną” -- Maravigliosa -- którą odkrył Ewers, do dziś jeszcze legendarną, bo trzeba do niej piąć się na drabinach i sznurach, po prostopadłej, wysokiej krzesanicy.

Do groty „błękitnej” -- Azurra -- niegdyś broniły wstępu zjawy niesamowite. Rybak, który do niej podpłynął zwabiony śpiewem morskiej diablicy, albo przepadał, albo wracał niemy, ślepy lub obłąkany. Krążyły przed nią ryby ogromne, których nie miał się harpun. Z samej pieczary buchał dym i płomień. Dziś wejścia strzeże srogie kotłowisko wód, nie ucichające bystrzyny raz wraz zalewają mały otwór. Wioślarze muszą przeczekać, aż na jedno mgnienie oka stanie dolina między dwoma garbami fal, i wtedy, chwyciwszy za łańcuchy umocowane u wejścia, nagłym, błyskawicznym szarpnięciem wciągają łódkę do wnętrza.

W miarę jak siatkówka traci pamięć właściwego blasku dnia, woda, z początku mętna i mleczna, nabiera dziwnej przelewności. Bładonie- bieskie, płynne refleksy mieniają się jak jedwab. Wiosło zanurzone staje się srebrne, a wychylone z wody ocieka deszczem drobnych, migotliwych pereł. Oślizły wapień sklepienia, nasycony mglistym błękitem, wyzbywa się swojej masy, ciężaru, twardości i przedzie się zwiewną kopułą powietrzną. Przypominają się gadki greckich żeglarzy o takich stronach, gdzie nie było ani ziemi, ani morza, ani powietrza, lecz jakby cudowne pomieszenie tych wszystkich żywiołów. Nabiera oczywistości marzenie o eterze, tajemniczym elemencie wypełniającym przestworza międzygwiazdne. Tak bowiem niewiarogodne jest to, na co patrzymy, że nieodpowiednie wydają się słowa: woda i powietrze -- dla tej osobliwej tkaniny barw i światła.

Fale, które wypłukały grootę, szły mądrym, odmierzonym zasięgiem. Wyżłobiwszy przestronną pieczarę, przebiły w niej dwa okna, jedno na zachód, drugie na północ, gdy zaś morze podniosło się wyżej pierwotnego poziomu, okno zachodnie ukryło się pod wodą, a zostało jedynie północne, o wiele zmniejszone, owa szczelina, przez którą przekradają się łodzie -- półodemknięta powieka, wiecznie załzawiona od bryzgu wełn, obrzeżona czerwoną obwódką łamiących się na pianie ukośnych promieni słonecznych. Czary „błękitnej” groty rodzą się

w zatopionym oknie zachodnim. Woda w tym miejscu przezroczysta, o barwie szafirów, przejmując białe światło dnia, rozszczepia je na kształt pryzmatu, chłonie w siebie czerwone i żółte promienie, a przepuszcza tylko niebieskie. Tą ślicznie prostą mechaniką pełnią swą pracę magiczne, utajone reflektory.

Z mojego balkonu, zawieszono nad winnicą, którą poranne słońce osusza z rosy nocnej, przemierzam wzrokiem dobrotliwy krajobraz wyspy. Pomiędzy okrągłym łbem San Michele a zębatą koroną Cas-tiglione, jakby w siodle górskim, spoczywa miasto Capri. Ku północnej stronie, ku nieodpartemu urokowi Zatoki Neapolitańskiej skłania się łagodna, zielona pochyłość. Na podkładzie z suchego piaskowca i sypkiego marglu zebrały się rdzawe osady gliny, cienka warstwa żelazistej gleby, z której wyrastają winnice i sady cytrynowe, i sady owych niespłików, owoców drobnych, co pod żółtą skórą kryją w sobie miąższ soczysty, nektar dni upalnych. Ku południowi zaś, skąd przychodzą fale opłukujące afrykańskie wybrzeża i skąd nadciąga gwałtowne sirocco, gorący oddech dalekich pustyń, pod którym horyzont ściemnia się popielatym tumanem i wędzną różą, z którym bezradnie walczą eukaliptusy wystawiając na jego przemoc wysokie, białe pnie, poszarpane niby granatami – ku południowi ten sam garb, co dźwiga miasto Capri, stacza się wśród domów, ogrójców oliwnych, urwisk zarosłych agawami g| ku morzu. Albowiem na tej małej wyspie – sześć kilometrów wzdłuż i dwa wszere – jak na olbrzymim okręcie oceanicznym, jesteś w nieustannym sąsiedztwie morza.

Na tarczy zegarowej z błękitnego fajansu mosiężne wskazówki uczyniły ostatnie drgnienie i oto bije ósma godzina. Miasto zaczyna się ruszać. Od Grandę Marina sunie pod górę wóz kolejki linowej, jak wielki żuk błyszczący wśród zieleni. Rozwlekłą serpentyną równej, ubitej drogi, łączącej port z miastem, biegną pierwsze wózki zaprzężone w muły i pierwsze dorożki o koniach ozdobionych kitami. Między kolumnami wielkiej terasy miejskiej, pod wieżą zegarową, wynikają figury ludzkie. Powoli, bez pośpiechu i bez zwyczajnego południowego zgiełku, nadciąga pracowity dzień z zaułków splecionych, ze ściśniętych bezimiennych uliczek, które wiją się pod sklepieniami i arkadami, przemykają ku wzgórzom, spływają po bokach szarych murów rozdzielających zagrody. Otwierają się ciężkie zasuwki sklepów, wytaczają się na place pachnące kosze owoców i jarzyn, dzwonią roztawiane szklanki.

Capri wita się ze mną swym pierwszym: buon giorno, szerokim jak otwarcie drzwi na świetliste rano, które później powtarza się w uśmiechach i gestach tych wszystkich ludzi miłych i łagodnych. Z tarasów obstawionych doniczkami hortensyj, spod każdej pergoli, wiązanej w wici winorośli rozpiętej na kolumnienkach, patrzą oczy bystre i ciekawe. W załomach muru wygrzewa się od wczesnej godziny lenistwo

pogodnej starości. Z amforą na ramieniu, krokiem śmiałym zstępuje ze schodów dziewczyna: wielkie złote kolce wahają się u płatków uszu i łechcą jej roześmiane policzki.

W zachodniej stronie rozpięta się Monte Solaro, najwyższy szczyt wyspy, po którego szorstkich ścianach w czas burzy drą się chmury na długie, białawe pasma. W jednym zboczach wcinają się w żywą skałę schody, prastare, fenickie, idące ku drugiemu, górnemu miastu -- Anacapri. W połowie ich ciężkiej drogi stoi kościółek wtulony między dwa urwiska, niby milczące przyzwolenie na odpoczynek omdlałych nóg i znużonych płuc. Zanim związano obie osady szerokim gościńcem, wyginającym się wzdłuż skalnego grzebienia, te schody były jedynym łącznikiem. Anacapri nie ma własnej przystani. W jego wyrwach nie utrzyma się nawet łódka. Każdą więc cegłę do budowy domów, paki towarów, bagaż wyładowanych w Grandę Marina okrętów przynosili ludzie z górnego miasta na własnych głowach, odmierzając po niezliczone razy te kilkaset śliskich stopni. Na ich końcu zaczyna się życie odmienne, jeszcze cichsze niż w samym Capri i jakby trochę smutne. Inny obyczaj mieszka w tym zbiorowisku białych domków położonych nad brzegiem ogromnej, zielonej przestrzeni winnic i oliwników, a nawet z ust ludzi przemawia inne narzecze, jakby te dwie osady nie sąsiadowały z sobą o ścianę na tym samym malutkim strzępku ziemi.

Panem tych stron jest Monte Solaro, o stokach u spodu zalesionych, wyżej nagich, porzniętych w ostre zęby ścieżek wytartych, wygładzonych, jak szkło, przez wiatry. Między dwoma garbami góry otwiera się płaskie rozchylenie. Tu są jedyne na wyspie pola. Kilkunastomorgowe zaledwie gospodarstwo. Wydarta trawom i chwastom ziemia układa się w śliczne grządki, porozdzielane wałami z kamyków, przeniknięte siecią jakby ogrodowych ścieżyn. Na rozwidleniu dróg prosta wiejska kapliczka błogosławi przekrzywionym od wiatrów krzyżem, nad łąką o trawie dziwnie miękkiej, nieomal puszystej, drzemie szałas pastuszy, nakryty liśćmi i słomą, zamknięty wielkim głazem jak u Polifema; na skraju zaś pól czerwieni się koniczyna i wraz z odległym szczekaniem psa leci ku mnie nieoczekiwany zapach polskiej wsi.

Wyżej nie ma już ani pól, ani domów. Dwie samotne ruiny, z pozoru jakby klasztorne, podmywane ulewą, kruszone wichrami, rozsypują się powoli. W głuchej pustce trwa dziki pejzaż kamienny. Wszędzie ten sam wapniak, trzon całej wyspy, nawarstwione cmentarzysko nieprzebranych miriad żyjątek morskich, co w płytkich wodach jurajskich oddawały kruchą treść swoich ciał na budowę łądów. Zwolna narastające ziemie wielokrotnie na nieprzejrzany obszarze czasu wychylały się i znikwały pod zwarą bałwanów. Aż nastał dzień, kiedy z gładkiej topieli dźwignął się łąd tyreński, obejmujący rozległy szmat dzisiejszego Morza Śródziemnego. Capri była jego częścią drobną, nie

do rozróżnienia pod zieloną puszcza, która okryła wyłonię płaszczyzny. Zwierzęta zamieszkały na świeżych ziemiach. Olbrzymie ssaki -- słoń, nosorożec --i deptały grząskie mokradła.

Za nimi nadciągnął człowiek. Zajął jaskinie, z których wypłoszył niedźwiedzia i hienę. W pokładach gliny, w żelaznych rudawiskach, co zostały po odpłynięciu pradawnych jezior, jego kości i narzędzia kamienne uwięzły obok gnatów zwierzęcych. Tam gdzie dzisiaj kuchnie hotelu „Ouisisana" pełnią swe kulinarne misteria, rozkładało się ognisko pierwszego tych stron mieszkańca. W popielisku znaleziono kości ludzkie kruszone nie zębami zwierząt, ale wyraźnie łamane i nacinane ostrym krzemieniem dla wyskania szpiku. Nie ulega wątpliwości, że ów odległy pan Capri był ludożercą, a jego żony, być może, siadywały gdzieś na wysokich skałach i niby syrtyny wabiły ku sobie nieogłędnych włóczęgów z jakiegoś nieznanego, dalekiego sąsiedztwa.

U wstępu do epoki, która już utrwaliła obecne kształty ziemi, ląd tyreński prysł, morze wdarło się w jego szczeliny, rozszarpało, co było jeszcze związane, zatopiło, co jeszcze wystawało ponad szumiącą powierzchnię, i w bujnej sile tworzenia wykreśliło niezawodnym cyrklem cud Zatoki Neapolitańskiej. Capri, odcięta od macierzystego lądu, jakby zapomniana przez fale, które pobiegły dalej -- znikoma okruszyna, została. Był czas, kiedy w podniesionych wodach rozrzuciła się miniaturowym archipelagiem malutkich wysepek, albowiem tylko jej najwyższe szczyty miały odwagę wychylić się ponad zamęt rozkielzanych wód. Trwało to niedługo -- może kilkaset lat, może kilka tysięcy -- aż wyłoniła się cała, bardziej świeża niż dzisiaj, mniej pomarszczona, nie tak przeorana wiatrem i wodą.

Na to wszystko patrzył człowiek, który z niżej położonych jaskiń posuwał się ku wzgórzom, jakby przyroda koniecznie chciała mieć nad sobą w tych tragicznych okresach parę ludzkich oczu. A ledwo morze znalazło i objęło w posiadanie swe nowe gniazda, otwarły się wulkany. Z owych pod Neapolem Pól Flegrejskich, z całej ognistej okolicy Wezuwiusza, tryskała lawa, a Capri dosięgały chmury popiołów i grad żużli. Warstwy wulkanicznych lapilli i pozzolany pokrywają do dziś prawieczne ślady ludzkie. Być może, uratowało się z płonących brzegów jakieś czółno drażone w pniu drzewa i odniosło do dalszych krajów pamięć przewrotów, przesłoniętą mgłami mitów o walkach bogów i demonów, o potopach i deszczach ognistych.

Wszystkie kataklizmy nasyciły wyspę siłą urodzaju, która z pozornie jałowego gruntu tworzy ogród rozkwitły. Dziewięćset gatunków roślin pokrywa skały Capri. Margerytka rozrasta się w kopulaste krzaki, patrzące tysiącami złotych ocz. Na równi z bluszczem bujny rozchodnik wiesza się w ciężkich draperiach z murów przydrożnych. Na zboczach wzgórz rakiety opuncji odbijają promienie słońca jak piłki. Wiatr jest tu siewcą i za jego sprawą ścielą się na Monte Solaro smugi rozma-

rynu, pod oliwkami Semaforo kładą się kwietniowe łany orchidei, a na- ^P wet w niedostępnych urwiskach spośród chwastów wykwitają irysy.

O, wyspol wyspo mojego odpoczynku, moich tysiąca chwil szczęśliwych, leżysz w tym ostatnim spojrzeniu jak w ramionach, cała, znajoma, niezapomniana Pod dotknięciem moich oczu podnosi się na nowo pył każdego kroku wyciśniętego na twoich ścieżkach i każdy kamyk trącony moją nogą z twoich gór toczy się dalej po zachyleniach wspomnień, póki nie spocznie miękko i trwale w tym jakimś sekretnym, sobie tylko przeznaczonym schowanku pamięci.

Z owego skłonu, na którym stoi mój przygodny dom, ściekają wąskie drożyny ku morzu. Utajonymi przesmykami bieżą wśród winnic, pod nawisłymi gałęziami sadów, przed otwartymi drzwiami domków, wzdłuż garbatych murów granicznych. Tak się myślą i kręcą jak krople deszczu na szybie w swym ciągłym wyginaniu się dokoła niedostrzegalnych przeszkód.

Ponad murem wyciąga się do mnie dłoń, a na niej leży figurka z alabastru. Wczoraj wykopał ją z ziemi, gdy przesadzał drzewo cytrynowe. Nimfa czy Wenus, naga, różowa, siedzi na czworobocznej podstawie, oparta ramieniem o róg obfitości. Biorę ją ostrożnie i ważę w ręce drobne ciało. W fałdach pachwiny jest jeszcze nieco gliniastej wilgoci.

I znów ścieżka splata się i rozplata. Przecina szeroką płachtę trawnika i kilku schodami zeskakuje w piasek wybrzeża. A tymczasem jej siostra, cichutko uwikłana w podgórskie gąszcze, wykrętnie, zwinnie odwodzi ku bardziej nagrzanym żwirowiskom Małej Przystani.

Nie masz tam spoczynku dla nóg. Bo oto za ścianą skalną via Augusto wysuwa się ostrożnie spod nagich wiszarów. Słyszą tylko gwizd szybujących jaskółek. Pachną sosenki parku. Jaśniej w słońcu kandelabry rozkwitłych agaw. Pod skałami Faraglioni pieni się wieczysty gniew fal. Ostrówek Monacone leży wśród spokojnych przybrzeżnych zielenic, niby pies morski z opartą na łapach głową. W całkowitej samotni pieczara Matromanii dyszy wilgocią żółtych ścian. Snują się po nich echa misteriów, nie wiadomo: Mitry czy Wielkiej Matki bogów. Ławy w wapieniu wykute, stopnie wchodzące ku pustemu sanktuarium, sklepienie odwiecznym murem wzmocnione i wokół miękka murawa moich sennych domysłów. Na przeciwnym brzegu w liliowym odbłasku skrzy się przylądek Sorrento i drobne Wyspy Syrenie, jak śniade chmurki, podnoszą się z morza.

Przezysty sen sływa na powieki. Marzą się rzeczy cudne, widziane jakby w czarnoksiężskim kryształ. Śpiewną ciszą przemijają bajki. Najpierw dalekie 1 białe jak statki pod rozwiniętymi żaglami, potem różowe w mglistym szeleście szat odchylających połyskliwe ciała, wreszcie błękitne i bliskie parą oczu rozwartych pod łukami ciemnych brwi.

Po wydłużonej pochyłości idzie samotna droga. Towarzyszą jej rozrzucone kamieniska, sztywne, suche chwasty i rzadkie opuncje. Cały

czub wzgórze zajmują ruiny. Wynikają spod ziemi zmurszałe arkady, snują się mury wiązane siatkową robotą, wyrzynają się w glinie kręgi dawnych kolumn, po ścianach kładą się rudawe liszaje zgasłych malowideł, pomiędzy trawy wsiąkają zgubione desenie mozaikowych posadzek. Splesniały odłam rury ołowianej zwiesza się nad czymś, co mogło być łazienką. Kawał wolnej przestrzeni obwiedziony resztkami muru o wnękach i niszach, jakby dla ławek i posągów, zdaje się oznaczać niewielki wirydarz. Sklepienia i górne piętra spadłszy zawaliły rumowiskiem dolne komnaty. Bronią do nich wstępu ogrodzenia z drutów kolczastych. Nad całkowitym opuszczeniem tych miejsc czuwa kaplica Santa Maria del Soccorso, zaniedbana i milcząca.

Po innych wzgórzach, na San Michele, na Castiglione, na tym skrawku wybrzeża, który zawsze nazywa się Palazzo a Mare, pod fundamentami Certosy, w okolicach Anacapri są rozsypane podobne gruzy, a gdzie ich nie ma, tam przypadkowe uderzenie stopy wydobywa spośród winnicy lub sadu głuchy pogłos zagrzebanych sklepień. Te wszystkie okruchy łączy tradycja z imieniem po dziś dzień żywym na całej wyspie. Powtarzają je w nieco zmienionej formie nawet chłopcy grający w kamyki: Timberio, co w rozgwarze zabawy brzmi jak ostrzeżenie lub przekleństwo. W tym imieniu zawiera się cała legenda i historia wyspy. Od chwili, kiedy Tyberiusz opuścił Capri, aby umrzeć w niedalekim Misenum, minęło prawie tysiąc dziewięćset lat, nad światem przeszła ogromna rewia dziejów, sama wyspa zmieniła niektóre swoje kształty, morze wciągnęło ją głębiej w swoją topiel, a w duszach mieszkańców nie zapisało się nic równie doniosłego. Poczerniały sarkofag stojący na tarasie jednego hotelu, a związany z losami żony Kommo- dusa, należy już do tych drobnych rupieci historycznych, które nie zatrzymują niczyjego spojrzenia.

Stara klechda kapryjska nie rozstała się z żywą obecnością Tyberiusza. Opowiada bowiem, że we wnętrznościach Monte Tiberio, właśnie pod ruinami, które zwą willą Jowisza, jest grota czy jakby pałac zaczarowany, a w nim leży posąg imperatora, cały z brązu, z oczyma z diamentów. Ten posąg nie ma w sobie jednak martwoty i uległości zwyczajnych dzieł ludzkiej ręki, ale okrąża go trwożne a niezłomne poczucie, że każdej chwili może się poruszyć i odżyć. Nikt mi nie umiał powiedzieć, jakie z jego powrotem łączą się nadzieje lub obawy. Może w tym jest zatajone życzenie, aby ponad kotlinami i wąwozami znów się rozpięły arkady wiaduktów, aby dźwignęły się dawne pawilony, portyki, pałace, aby rozbłysła chwała różnobarwnych marmurów, brązów, złocistej gwardii, purpurowych zasłon, wiszących ogrodów, po których przechadzają się pawie.

Jedenaste lat pobytu cezara na Capri stało się bajką, którą cała wyspa umie na pamięć. Utrwalają ją, powtarzają, rozszerzają wszystkie te miejsca, gdzie został bodaj ślad cegły rzymskiej. A na każdym skrawku są piętna krwi lub występku. W sklepieniach pod Certosella domyślono się owych sal sekretnych, gdzie były łóżka i fotele dla wymyślnych rozkoszy. W „błękitnej” grocie wymarżono sobie kąpiele cesarskie w lubieżnym otoczeniu dziewcząt i chłopców. Rozpoznano gaje i ustronia, w których działały się nocne bachanalie. Najgroźniejsze na wyspie urwisko nazwano: Salto di Tiberio, że to właśnie stąd posepny starzec kazał ludzi strącać. Wrócili z Rzymu wszystkie plotki sprzed dwóch tysięcy lat i rozniosły po wyspie czad okrucieństwa i rozpusty.

Nie opodal owego „salto” wyrasta na samej krawędzi wzgórze ogromne zwalisko rzymskiej ceglanej budowy. Była to latarnia morska. Ognisko płonące na szczycie, odbite w metalowych zwierciadłach, bryzgało czerwonym światłem na czarne szlaki okrętów. Pod wieżą znaleziono kupę popiołów i resztki nie strawionych drewn, a z ich tkanek poznano, że były niegdyś smolnymi szczapami. Pod zgaszoną na zawsze latarnią, nad brzegiem prostopadłej ściany, szukałem prawdy o Tyberiuszu. Sąd Tacyty, układający się w zdaniach rozważnych jak fałdy tog, kuse plotkarstwo Swetoniusza, rozciągała retoryka Diona Kasjusza – wszystko to razem w słodkim blasku słońca rozsypywało się przede mną jak ów popiół pomieszany z węglami, ostatni ślad ogniska latami. Jakimże tchnieniem można obudzić z tych wystygłych zgliszczów płomyk prawdy? Za każdą przewróconą stronicą historii jawi się starzec olbrzymi, surowy, o twardym spojrzeniu. Przesuwa się jak wielki cień pośród głębszego jeszcze mroku, który go zewsząd otacza. To chyba jego własna samotność zgęstniała w taką otchłań nieprzepartej nocy.

-- A czy wiesz, co znalazłem w tej garstce popiołów? Twoje oczy podniosły się na mnie zdziwione.

-- Tyberiusza pierwszą żoną była Agrypina, córka tego Agrypy, co zbudował Panteon w Rzymie. Miał z nią syna Drususa, a kiedy była znowu brzemienna, musiał ją porzucić i na rozkaz Augusta ożenić się z jego córką, Julią. Raz tylko jeszcze ją widział przypadkiem, na ulicy. Odwrócił się i patrzył na nią długo wilgotnymi oczyma – flumentibus oculis. Odtąd pilnowano, aby jej nigdy więcej nie mógł zobaczyć. Nikogo oprócz niej w życiu nie kochał. Nigdy niczyje serce nie powtórzyło rytmu jego serca, które potraçało o wielką ciszę, jak zegar dygocący w opuszczonym, zamkniętym domu.

Położyłaś swą jasną rękę w mojej dłoni i dwie łzy płyną ci po policzkach. Nie zatrzymane chustką, spadną na ziemię. Nikt nie zna ich mocy. Bogacz wśród ogni wiecznych modlił się o tyle wilgoci, ile jej zdoła się zebrać na końcu palca Łazarza. Kto wie, jakim zdrojem uderzą twoje łzy na tamtym brzegu i czy się nimi nie pokrzepi czyjaś dusza?

Przycichły wieczornym spokojem wody morskie. Ze wzgórza Semaforo, kędy obrałem powrotną drogę, widzę rozpalające się nad Neapolem zorze. Pod ich pręgą szkarłatną wyblyska girlanda świateł. Wezuwiusz drży w purpurowo - złotym pyle. W miarę jak idą przez pociemniałe ścieżki, noc czyni się coraz głębsza. Z mroku wyzierają domy spokojne i zycliwe. Mój własny woła mnie ku sobie zapachem róż. Oparty o mur przydrożny, oddycham rosą winnic rosnących w dole.

Na niebie rozkwitła gwiazdzista winnica Pańska. Myśl poderwała się z ziemi i jak motyl krąży po świetlistych krzewach. Zuchwale wyciągnęły się jej skrzydła w przelocie przez światy niebieskie. Wybiegła poza sferę, na której zatrzymują się fale świetlne, i poza eter, w którym pływa nasz wszechświat. Weszła w granice Próżni, w nieobeszłe królestwo czystej Przestrzeni. Była tam sama jedna, pośród obcych, niezbadanych dróg. Żadna fala, żadne, choćby najmniejsze drgnienie nie przenika stamtąd do naszej rzeczywistości. Nie ulękła się myśl szafirowej pustoszy, lecz panosząc się nad nią żądała istnienia nowych wszechświatów i one powstawały, jakby wysiewane z czyichś niewidzialnych dłoni -- ziamisty pył gwiazd, których żaden ziemski teleskop nigdy nie złowi.

Niby jaskółka znajdująca po wielkiej podróży przelotu to samo szare gniazdko, wróciła myśl nad mur przydrożny i nad wilgotną winnicę. Ożywiła, uskrzydliła całą dookolną martwość. Oderwała się wyspa od dennych wiązań i jak łódź płynie po srebrzystym morzu. Holuje ją księżyc promieniami wyprężonymi jak liny. Ster prowadzi Wielka Niedźwiedzica wolnym, pewnym obrotem. Rozsuwa się wokoło i zaszuwa bezkres nocnej ciszy. Przemijają brzegi rozmigotane światełkami miast. Odmieniają się strefy i oddechy powietrza. Nikną gorące westchnienia mórz południowych i chłodny, rzeński wiatr uderza zadziwione płuca. Z szarego świtu podlatuje pianie koguta. Spoza wieży kościelnej wysuwa się pierwsza różowa mgła poranku, a w miarę jak się rozszerza i płonie, podnosi się z szerokości, z zapachem bzów zmieszana, listkami brzoź błyszcząca, ogromna polska wiosna.

1926--1927